

# ENOLA HOLMES

NANCY SPRINGER

## SPRAWA OSOBLIWEGO WACHLARZA

*Enola Holmes bije się lepiej niż większość mężczyzn (...),  
a inteligencją zaskakuje nawet swojego brata Sherlocka.*

- KALIŃA MRÓZ, „WYBORCZA TV” -

TOM - 4 -



 Poradnia K

NANCY SPRINGER

ENOLA  
HOLMES

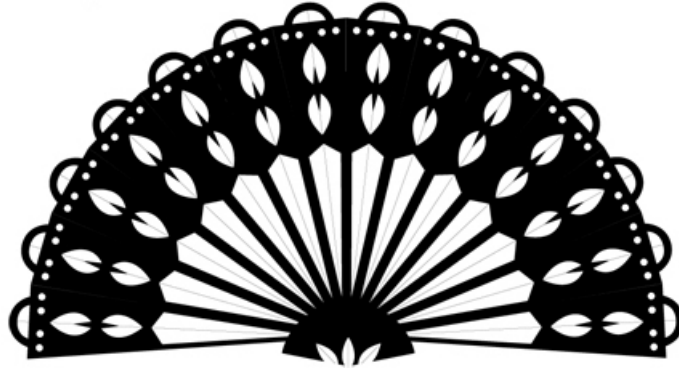
SPRAWA  
OSOBLIWEGO  
WACHLARZA

PRZETŁUMACZYŁA ELŻBIETA GAŁĄZKA-SALAMON



**Dla mojej matki**

**N.S.**



## MAJ 1889 ROKU

Mija już ósmy miesiąc, odkąd dziewczusko zaginęło...

– Dziewuszyko ma imię, mój drogi Mycroftie – przerywa mu Sherlock, tłumiąc lekkie poirytowanie w głosie, pomny, że został zaproszony przez brata na kolację. Mycroft, mimo skłonności do samotniczego trybu życia, jest znakomitym gospodarzem i dopiero po podaniu pasztetu z grzywacza w cieście, polanego sosem żurawinowym, poruszył niemiłą kwestię zniknięcia ich młodocianej siostry, Enoli Holmes.

– Enola. Zresztą wcale nie zaginęła w zwykłym rozumieniu tego słowa – dodaje Sherlock cichszym, niemal przymilnym tonem. – Zbuntowała się, czmychnęła i robi wszystko, by nam się wymykać.

– Robi też różne inne rzeczy – uzupełnia Mycroft i stęka, oparłszy swój wydatny brzuch o kant blatu, by sięgnąć po kryształową karafkę.

Wiedząc, że Mycroft chce powiedzieć coś znaczącego, Sherlock czeka w milczeniu. Patrzy, jak starszy brat napełnia kieliszki znakomitym trunkiem, dzięki któremu trudny temat staje się łatwiejszy do przełknięcia. Obaj panowie rozpięli wykrochmalone na sztywno kołnierzyki i poluźnili czarne krawaty.

Mycroft upija łyk, po czym podejmuje wątek nieznośnym sprzeciwu i nieco denerwującym tonem.

– Przez te osiem miesięcy przyczyniła się skutecznie do odszukania trzech zaginionych osób i postawienia trzech groźnych kryminalistów przed sądem.

– Zauważyłem to – przyznaje Sherlock. – I cóż z tego?

– Nie dostrzegasz pewnego niepokojącego rysu w jej poczynaniach?

– Ależ skąd! To czysty zbieg okoliczności. Przypadkowo trafiła na sprawę markiza Basilwethera. Odnalazła lady Cecily Alistair, niosąc pomoc ubogim w przebraniu zakonnicy. No i...

– I zupełnie *przypadkowo* ustaliła tożsamość porywacza?

Sherlock spuszcza oczy, słysząc kwaśną uwagę brata, po czym kontynuuje:

– No i pragnę zauważyć, że nie zaangażowałyby się w poszukiwania Watsona, gdyby jego osoba nie była ściśle powiązana ze mną.

– Nie masz pojęcia, jak i z jakich przyczyn się w to zaangażowała. I wciąż nie wiesz, jakim cudem go odnalazła.

– To prawda – przyznaje Sherlock. – Nie mam. – Częściowo w wyniku łagodzącego działania wiekowego porto serwowanego przez brata i częściowo wskutek upływu czasu oraz pewnych wydarzeń, do których doszło, myśl o zbiegłej siostrze nie wywołuje w nim już ukłucia smutku i jeszcze większego niepokoju. – I nie był to wcale pierwszy raz, kiedy mnie przechytryła – stwierdza niemal z dumą.

– Ba! I co jej przyjdzie z tego sprytu i zuchwalstwa, kiedy stanie się kobietą?

– Raczej niewiele, jak sądzę. Jest nieodrodną córką naszej matki sufrażystki. Ale dobre chociaż to, że przestałem się już obawiać o jej bezpieczeństwo. Jak widać, potrafi całkiem niezłe o siebie zadbać.

Mycroft macha ręką, jakby oganiał się od natrętnego owada.

– Ależ nie w tym rzecz – mówi. – Stawką jest przeszłość tej dziewczyny, a nie to, jak sobie radzi

z doraźnymi kłopotami. Co ją czeka za kilka lat? Żaden majątny dżentelmen nie zechce pojąć za żonę tak niezależnej osobki angażującej się w ściganie przestępców.

– Ma dopiero czternaście lat – zauważa cierpliwie Sherlock. – Nie wątpię, że kiedy stanie się panną na wydaniu, zaniecha ukrywania sztyletu pod gorsetem.

Krzaczaste brwi Mycrofta unoszą się nagle.

– Łudzisz się, że w końcu ulegnie konwenansom? Ty, który wzgardziłeś osiągnięciem tytułu w uznanej dziedzinie nauki, by wypracować sobie własne powołanie i źródło utrzymania?

Pierwszy i jedyny prywatny detektyw do wynajęcia zbywa brata lekceważącym gestem.

– Jest przedstawicielką *samic*, mój drogi Mycroftcie. Biologiczny imperatyw przypisany jej płci zmusi ją do założenia gniazdka i prokreacji. Pierwsze symptomy budzącej się kobiecości zmuszą ją...

– Ba! Duby smalone! – Mycrof daje w końcu upust nagromadzonej żółci. – Czy naprawdę uważasz, że nasza zbuntowana siostrzyczka ustatkuje się u boku męża?

– No a co, twoim zdaniem, zrobi? – odparowuje Sherlock. Wielki detektyw nie nawykł do tego, by jego wywody określano mianem „dubów smalonych”. – Może zechce poświęcić się bez reszty szukaniu zaginionych i tropieniu złoczyńców?

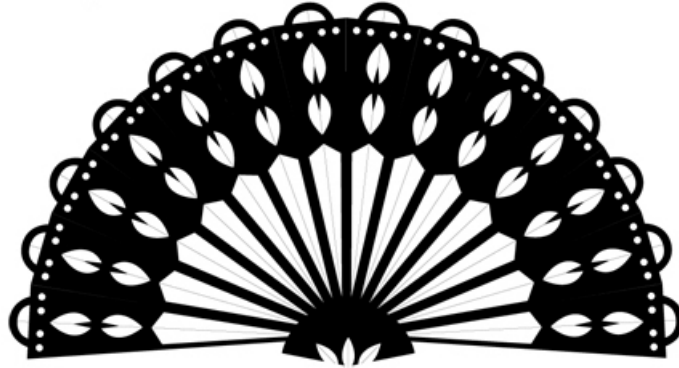
– Bardzo możliwe.

– Wierzysz, że się tym zajmie zawodowo? Jako moja konkurentka? – Rozsierdzenie ustępuje rozbawieniu i Sherlock zaczyna chichotać.

– Nie wykluczałbym takiej opcji. – Mycroft kwituje słowa brata ściszym głosem.

– Zaraz stwierdzisz, że zaczniesz palić cygara. – Sherlock zanosi się teraz szczerym śmiechem. – Czyżbyś zapomniał, że nasza siostra to tylko krnąbrne dziecko? Nie możesz jej podejrzewać o taką celowość działań. Banialuki, mój drogi Mycroftcie. Banialuki.





## ROZDZIAŁ PIERWSZY

Jak dotąd jedynymi klientami biura doktora Ragostina, naukowca perdytorysty, byli: korpulentna podstarzała wdowa, której uciekł piesek kanapowy, przerażona lady, której zginął bezcenny rubin rżnięty w kształt serca, подарowany jej przez męża, i generał, któremu zaginęła najdroższa pamiątka z wojny krymskiej, konkretnie podziurawiona kulami kość udowa z podpisem lekarza z lazaretu, który przeprowadził amputację kończyny.

Błahostki! Cała moja energia powinna być teraz skierowana na znacznie ważniejszy cel: odszukanie mamy. Wiedziałam, że dołączyła do Cyganów, i obiecałam sobie, że wiosną ją odzukam. Nie po to, aby jej czynić wyrzuty czy do czegokolwiek przymuszać, ale po to, by znów nawiązać kontakt ze swoim... z amputowanym członkiem rodziny, jeśli można się tak wyrazić.

I nagle nastał maj, a ja nie poczyniłam żadnych starań, żeby odzukać mamę. Dlaczego? Nie wiem. Zatrzymały mnie w Londynie sprawy zawodowe.

Sprawy zawodowe? Piesek kanapowy, klejnot i kość udowa?

Cóż, klient nasz pan, powtarzałam sobie. Rzecz jasna, nie było wskazań (ani możliwości), by którykolwiek z interesantów został przedstawiony prześwietnemu (i fikcyjnemu) doktorowi Ragostinowi. Wystarczyło, że jego zaufana asystentka, panna Ivy Meshle, odniosła zbolącej wdowie zgubę, uroczego kędzierzawego spaniela, uprowadzonego przez osławionego hodowcę z Whitechapel, rozmnażającego kradzione psy rodowodowe. Panna Meshle rozwikłała także tajemnicę zaginionego rubinu, każąc wspiać się chłopakowi na rosnącą przed oknami poszkodowanej lipę i zajrzeć do gniazda urzędującej tam sroki. (Ach, jakże marzyłam o tym, żeby wdrapać się na drzewo osobiście! Jednak poczucie przyzwoitości okazało się silniejsze). Ale na oprawioną za szkłem część generalskiej kończyny dolnej natrafiłam, kiedy zaangażowałam się w bardziej intrygującą i – jak się okazało – niecierpiącą zwłoki sprawę.

Z rumieńcem wstydu muszę wyznać, że rozpoczęła się ona od spotkania w nowo pobudowanym przybytku przy Oxford Street, odwiedzanym tłumnie przez damy robiące zakupy w ekskluzywnych sklepach tej części miasta. Nazwy tego miejsca nie wspominano w towarzystwie mężczyzn. Był to pierwszy w Londynie damski szalet publiczny.

Wspaniała innowacja, świadcząca o taktownym uznaniu faktu, że dobrze urodzone panie nie musiały przesiadywać całymi dniami we własnym, zaopatrzonym w kanalizację zaciszu domowym. Warto było zapłacić pensa, kiedy przynagliła potrzeba, chociaż była to kwota, która pokryłaby dziecku z East Endu dzienny koszt chleba, mleka i nauki w szkole. Wysoka opłata była gwarancją tego, że z urzędów korzystały tylko i wyłącznie panie z wyższych sfer. Ale bywało, że zaglądały tam także przedstawicielki mas pracujących, jak choćby panna Ivy Meshle, ze swoimi dopinanymi loczkami i nieszytymi na miarę ubiorami, będącymi tanim echem obowiązującej mody.

Tego dnia nie poszłam tam jednak we wcieleniu nieco wyzywającej Ivy Meshle. Poszukiwania zawiodły mnie do Muzeum Brytyjskiego – odwiedzanego, ku mojemu niezadowoleniu, przez obydwu moich braci. Wcieliłam się zatem w postać naukowczynie. Zwinęłam myszowate włosy w koczek i ukryłam swą pociągłą, ziemistą twarz za okularami w grubych czarnych oprawkach. Dzięki nim, mimo

że zmniejszały mój wydatny nos, mogłam się poruszać bez obaw o nagabywanie, ponieważ żaden szanujący się mężczyzna nie spojrzełby na okularnicę. Odziana w skromną, pozbawioną jakichkolwiek ozdób suknię z nietaniej, acz szaroburej serży, w równie nierzucającym się w oczy kapeluszu na głowie, przysiadłam na chwilę w gustownym saloniku Umywalni dla Dam. Wśród siedzisk wykładanych ciemną skórą i ozdób ze sztucznego marmuru mogłam się rozkoszować przyjemnym poczuciem pewności, że nie trafią tu za mną ani Sherlock, ani Mycroft.

Jak dotąd nie miałam zresztą powodów do obaw – naukowczynie nie budzą zbyt wielkiego zachwyty wśród męskiej części mieszkańców Londynu – tutaj jednak byłam całkowicie bezpieczna, ponieważ znużone robieniem sprawunków damy często szukały chwili wytchnienia w mrocznym chłodzie wykładanej gipsem poczekalni przed udaniem się na dalsze łowy w ulicznym pył i skwarze.

Zabrzęczał dzwoneczek i posługaczka przeszła przez salonik, by otworzyć drzwi. Do wnętrza wkroczyły trzy panie. Przeszły tuż obok mnie, ponieważ siedziałam na wybitej rudawym pluszem kanapie przy wejściu. Nie podniosłam, rzecz jasna, wzroku znad gazety i pewnie w ogóle nie zwróciłam na nie uwagi, gdyby nie to, że wyczułam coś bardzo niepokojącego. Kobiety wniosły ze sobą jakąś dziwną atmosferę napięcia.

Słyszałam jedynie szelest jedwabnych halek i nic poza tym. Panie nie odzywały się do siebie.

Zaintrygowana sytuacją oderwałam oczy od gazety, nie unosząc przy tym jednak głowy (przyglądanie się komuś świadczyłoby o skandalicznym braku wychowania). Niewiele jednak mogłam wyczytać, patrząc na ich plecy.

Dwie strojne niewiasty, ciągnąc za sobą ogony obfitych spódnic, prowadziły między sobą młodszą i znacznie szczuplejszą osobę w najmodniejszym paryskim stroju – doprawdy po raz pierwszy ujrzałam spódnicę o tym fasonie na żywej osobie, a nie na manekinie w witrynie sklepu. Ciężkie fałdy cytrynowego trenu spływały z obowiązkowej wciąż tiurniury, jednak sama spódnica, o głębszej żółtawozielonej barwie, była ściągnięta pośrodku ukrytymi tasiemkami, tworząc na wysokości kolan coś w rodzaju drugiej, wciętej talii. Niżej znów się rozlewała szeroko na boki, układając się na kształt dzwonu, spod którego jednak nie było widać obuwia. Zdawało się, że dziewczyna sunie po podłodze, nie poruszając stopami. Ściśnięta w kolanach spódnica zmuszała ją do stawiania drobnych, co najwyżej dziesięciocalowych kroków. Mrużąc oczy, przyglądałam się młodej osobce. Choć była szczuplutka i pozbawiona jakże pożądanej talii osy, wydała mi się uroczą istotą. Przypominała spętaną sarenkę. Wiedziałam, że zdrowy rozsądek często ponosi klęskę w starciu z narzucanymi przez żurnale wymogami – gorsety, krynoliny, tiurniury – jednak tym razem miałam chyba do czynienia z jakąś oszalałą niewolnicą mody, która dobrowolnie pozbawiła się możliwości swobodnego chodzenia.

Kiedy cała trójka zbliżała się powoli do drzwi właściwego przybytku, dziewczyna nagle stanęła.

– Chodźże, dziecko – zakomenderowała jedna z matron.

Młoda kobieta w dzwonowatej spódnicy nie posłuchała jednak polecenia i – w sposób pozbawiony jakiegokolwiek wdzięku – usiadła. A raczej klapnęła ciężko, omal się przy tym nie przewracając, na jeden z obitych ciemną skórą foteli ustawionych pod przeciwległą ścianą.

I kiedy odwróciła się w moją stronę, omal nie sapnęłam z zaskoczenia – przecież ja ją znam! Nie mogło być mowy o pomyłce, zbyt mocno wryły mi się w pamięć nasze wspólne przygody, poczucie siostrzanej solidarności, moje przerażenie na widok napastnika z garotą... Widok tej wrażliwej, uduchowionej twarzy wręcz mnie zahipnotyzował. Była to córka baroneta, leworęczna lady, którą w swoim czasie odnalazłam i ocaliłam przed złym losem – jaśnie pani Cécily Alistair we własnej osobie.

Jej towarzyszkami były mi zupełnie nieznane. A gdzie matka Cécily, przeurocza lady Theodora?

Jeśli zaś chodzi o samą lady Cécily... tej zimy widziałam ją zmarzniętą, wygłodniałą i odzianą w łachmany, bez cienia blasku w pięknych oczach, ale nie byłam ani trochę przygotowana na to, co ujrzałam teraz. Jej twarz była jeszcze bardziej wymizerowana, a wzrok jeszcze bardziej zbołały. Zacisnęła zęby, jej pełne wargi zwężyły się na znak protestu i rzuciła górującym nad nią herod- -babom dzikie i rozpaczliwe spojrzenie pełne buntu.

– O nie, moja panno – odezwała się jedna z kobiet nieznośnym sprzeciwu tonem, z którego

wynikało, że jest kimś więcej niż przyzwoitką: czyżby babką albo ciotką? – Idziesz z nami. – Chwyciła siedzącą lady pod rękę, a jej towarzyszka zrobiła to samo z drugiej strony.

Ja tymczasem zdążyłam już podnieść głowę i przypatrywałam się temu wszystkiemu bez zażenowania. Na szczęście obie matrony nie patrzyły w moją stronę, skupiwszy całą uwagę na siedzącej w fotelu szesnastolatce.

Lady Cecyli odpowiedziała cichym głosem:

– Nie zmusicie mnie do tego – i wcisnęła się głębiej w fotel, gniotąc cytrynowe ozdóbki, spuściwszy nisko głowę. Gdyby jej prześladowczynie chciały, żeby wstała, musiałyby teraz siłą postawić ją na nogi, a wtedy zapewne doszłoby do szarpaniny. Myślę, że powstrzymały się przed użyciem przemocy ze względu na moją obecność. Szybko wetknęłam nos z powrotem w gazetę, bo damulki nie były w ciemni bite.

– No cóż – odezwała się jedna z nich kwaśnym tonem. – Trzeba będzie korzystać z przybytku na zmianę.

– Idź – odpowiedziała jej druga. – Ja zostanę przy niej.

I pierwsza jejmość udała się do wygodki sama. Kiedy rozległ się trzask zamykanych drzwi, ponownie oderwałam wzrok od gazety. Druga matrona sadowiła się właśnie na pobliskim fotelu. Jej uwagę zaprzętnęła na chwilę kwestia jak najuważniejszego ułożenia kunsztownie drapowanego krepdeszynu. Wykorzystała to lady Cecyli, uniosła głowę i jak więzień, szukający drogi ucieczki, omiotła pomieszczenie spojrzeniem.

I rozpoznała mnie. Chociaż widziałyśmy się tylko raz, owej nocy, kiedy porywacz omal jej nie zabił, zapamiętała mnie. *Trzask!* – jakby ktoś z bicia strzelił – tak wielka była energia zderzenia się naszych spojrzeń. Równie szybko lady Cecyli spuściła oczy, by ukryć przed prześladowczynią rozszerzone źrenice.

Zrobiłam to samo, zastanawiając się, czy zapamiętała, jak się nazywam, kiedy impulsywnie i nie bacząc na niebezpieczeństwo podałam jej swoje prawdziwe imię i nazwisko. A wszystko dlatego, że z miejsca poczułam siostrzaną więź z tą nieszczęśliwą genialną istotą, z córką baroneta dotkniętą rozdwojeniem jaźni, z leworęczną artystką otwartą na cierpienie nędzarzy, oddającą je w niezwykłych szkicach wykonanych węglem, zmuszaną jednak, by grać przed socjetą potulną praworęczną lady Cecyli.

Ale przecież wiedziałam o niej nieporównanie więcej niż ona o mnie. Wyobrażam sobie, że tamtej pełnej grozy nocy tajemnicza postać w czarnej pelerynie z pewnością wydała jej się niemal zjawą. Stąd niedowierzanie, kiedy ujrzała mnie znowu w biały dzień. I być może nadzieja, że znów jej pomogę, ratując z kolejnej nieznanej mi jeszcze opresji.

Co się może z nią znowu dziać? Odłożyłam gazetę, jakby znużyło mnie czytanie, i zaczęłam się zastanawiać nad desperacją, którą zobaczyłam w ciemnych oczach lady Cecyli, nad bladeścią jej wychudzonej twarzyczki, nad pozbawionymi blasku włosami, zaczesanymi gładko nad czołem i zwieńczonymi prostym słomkowym kapeluszem marynarskim.

Kiedy chwilę później ponownie odważyłam się na nią spojrzeć, trzymała w dłoni wachlarzyk.

Wyjątkowo osobliwy wachlarz o jednolitej cukierkoworóżowej barwie – okropnie pospolity – i zupełnie niepasujący do jej żółtych wstążek, limonkowej sukni czy bucików i rękawiczek z kremowej koźlęcej skórki. Ktoś, kto nosi drogą i modną spódnicę z najprzedniejszego mięciutkiego diagonalu utrzymanego w żółtawozielonkawych barwach, nie powinien się pokazywać z wachlarzem zrobionym ze zwykłych patyczków oklejonych złożonym w harmonijkę papierem i ozdobionym tandetnymi farbowanymi na różowo piórkami.

Towarzyszająca młodej kobiecie matrona zajęła pobliski fotel, umożliwiającą baczność obserwację podopiecznej, i skwitowała sytuację cierpkim tonem:

– Doprawdy, nigdy nie zrozumieć, czemu uparłaś się nosić ze sobą to paskudztwo, chociaż podarowałam ci taki piękny wachlarz z kremowego jedwabiu rozpiętego na rzeźbionym w kości słoniowej stelażu i zrobionego igłową koroneczką.

Nie bacząc na te słowa, lady Cecyli rozłożyła swój różowy cudaczny przedmiot i zaczęła nim wachlować twarz. Zauważyłam, że trzymała go w lewej dłoni – znaczący szczegół: wołała pokazać



swoje prawdziwe oblicze, zamiast się podporządkować wymogom przyzwoitości. Spojrzałam także, że ustawiła wachlarz w taki sposób, by utworzył barierę między nią a nadzorczynią. Zaimprovizowany ulotny kamuflaż pozwolił jej nawiązać ze mną kontakt wzrokowy i w tej samej chwili, zupełnie jakby przez nieuwagę, musnęła wachlarzem czoło.

Od razu zrozumiałam znaczenie tego gestu: *miej się na baczności*. Język wachlarzy został wymyślony na potrzeby młodych zakochanych pragnących prowadzić flirt w obecności przyzwoitek. I choć sama nigdy nie byłam obiektem męskich westchnień – i raczej nie miałam nadziei, że się kiedyś nim stanę – to jeszcze w niewinnych czasach swojego dzieciństwa w Ferndell Hall, słuchając uszczypliwych uwag mojej mamy, zabawiałam się, podglądając innych.

Nie zdradziwszy się żadnym gestem, westchnęłam cicho, jakby dokuczyły mi upał i zmęczenie, po czym sięgnęłam do obszernej kieszeni ukrytej pod suto drapowaną suknią i wyciągnęłam z niej własny wachlarz, który zawsze mi towarzyszył, jednak nie jako narzędzie elegantki czy kokietki – służył mi wyłącznie do chłodzenia twarzy. Był z brązowego batystu, skromny, acz w dobrym tonie. Rozpostarłam go, ale nie całkowicie – trochę więcej niż w połowie, by zasignalizować przyjaźń.

Tymczasem matrona, która udała się za potrzebą, wróciła z sekretnego pomieszczenia. Jej towarzyszka podniosła się, by pójść w jej ślady. Lady Cecily wykorzystała chwilę ich nieuwagi, wprawiając wachlarz w szybki trzepot, znamionujący poruszenie i rozpacz.

Oparłam swój brązowy wachlarz o prawy policzek. *Tak*. Przekazałam jej, iż rozumiem, że coś jest na rzeczy.

– Posługuj się prawą ręką – warknęła matrona, sadowiac się w fotelu – i odłóż tę idiotyczną zabawkę.

Lady Cecily znieruchomiała, jednak nie wykonała polecenia.

– Odłóż to, mówię! – powiedziała apodyktycznym tonem jej... porywaczka? Miałam wrażenie, że obie damy trzymają ją w niewoli.

– Nie. To mnie bawi – odparła lady Cecily.

– Nie? – W głosie starszej, zażywej kobiety zabrzmiała groźba, która po chwili ustąpiła rezygnacji: – No dobrze, bądź nieposłuszna. Ale tylko w tej jednej sprawie. – Nie podniosła na krnąbrną podopieczną głosu, przeciwnie, ściszyła go, mamrocząc dalej jakieś ponure słowa, których nie zdołałam rozpoznać. Siedziała sztywna jak drąg – jej bujna kibić była ściśnięta do granic możliwości gorsetem pod strojną suknią – zwrócona do mnie profi-lem. A ja, choć osobom postronnym mogłam się wydać zmęczona i spragniona namiastki ochłody, czułam się jak pies myśliwski, który zwąchał trop, i wyostrzyłam wszystkie zmysły. Przyglądając się uważnie siedzącej naprzeciwko damulce, by móc ją w razie potrzeby rozpoznać, zauważyłam, że w sumie niewiele się różniła od tej, która była chwilowo nieobecna: obie wyróżniały się pewną subtelnością niektórych rysów, kontrastujących z szerokością i mięsistością twarzy. Cienkie łukowate brwi, małe noski, wąskie wargi. Doprawdy, były do siebie tak podobne, że z dużym prawdopodobieństwem mogłam założyć, iż mam do czynienia z siostrami, może nawet bliźniaczymi. Owszem, włosy jednej z nich były nieco bardziej przyprószone siwizną, sądząc po niewielkim ich fragmencie niezastłoniętym przez wspaniały i olbrzymi kapelusz, tak przechylony i tak misternie powykręcany, że liliowate kwiaty psizęba znalazły się pod jego rondem.

– ...choćby to miało nam zabrać cały dzień. – Jej głos zwiększył moc w miarę narastania złości.

– Panna młoda musi mieć wyprawę i będziesz ją miała.

– Nie zmusicie mnie, żebym w tym chodziła – odparła hardo lady Cecily.

– To się jeszcze okaże. Wychodzimy – powiedziała dama, kiedy druga z pań wychynęła zza drzwi toalety, sygnalizując swą gotowość uniesionym parasolem.

Lady Cecily wstała bez słowa, trzymając szeroko rozpostarty wachlarz na wysokości twarzy. Był to znak przywołujący nieśmiałego wielbiciela, oznaczający tyle co: *Podejdź do mnie*. Jednak gestowi towarzyszyło błagalne spojrzenie ciemnych oczu rzucone mi sponad różowych piórek. Co to mogło oznaczać?

*Nie opuszczaj mnie w niedoli.*

*Pomóż mi.*

Z największą ochotą, pomyślałam, stukając w prawy policzek. *Zgoda*. Tylko jak?

*Uwolnij mnie.*

Z czego?

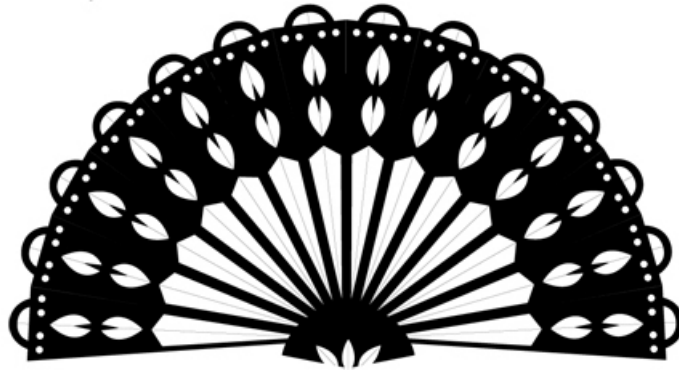
– Schowasz wreszcie tę przeklętą zabawkę do kieszeni?!

Lady Cecily opuściła jednak tylko rękę trzymającą wachlarz na wysokość bioder. Dwie matrony ustawiły się strategicznie po obu stronach nieszczęsnej i ruszyły z nią w stronę wyjścia, przy którym siedziałam, walcząc z natłokiem myśli. Lady Cecily trzymała teraz zamknięty wachlarz za sam sznureczek, wprawiając go w ruch wirowy, kolejne ostrzeżenie o istniejącym zagrożeniu. *Uważaj. Obserwuj nas.*

Zależało jej zatem na utrzymaniu tajemnicy. Dlatego też, kiedy mnie mijały, udałam całkowitą obojętność, wbijając wzrok w wyjątkowo szpetną martwą naturę wiszącą w złoconej ramie na przeciwległej ścianie. Jednocześnie cały czas gorączkowo obmyślałam plan, jak za nimi podążyć, jak się dowiedzieć, dokąd...

*Bum!* Kanapka, na której siedziałam, aż się zatrzęsała, a przed oczyma mignęła mi smuga cytrusowych barw – lady Cecily, która zachwiała się na nogach spętanych idiotycznie wąską spódnicą, omal nie runęła na mnie z impetem. Towarzyszące jej skwaszone niewiasty natychmiast przywróciły ją do pionu i wyprowadziły na zewnątrz, bez słowa przeprosin.

Gdyby zaszczyliły mnie choć jednym spojrzeniem, to być może zobaczyłyby to samo co ja: na siedzisku obok mnie leżał różowy papierowy wachlarz.



## ROZDZIAŁ DRUGI

Kiedy tylko za lady Cecily i jej dwiema budzącymi grozę przyzwoitkami zatrzasnęły się drzwi, podniosłam się, wsuwając oba wachlarze do kieszeni. Musiałam pójść za tymi kobietami i wybadać, o co chodzi, jeśli mam pomóc tej dziewczynie. Jednak gdybym nie zachowała należytej odległości, mogłabym zostać zdemaskowana przez eskortujące lady Cecily matrony. Dlatego też najpierw wskoczyłam na siedzisko kanapki i wspiąwszy się na palce, wyjrzałam przez wysoko umieszczone okno. Szlifowane, rombowne szybki zniekształcały nieco widok, jednak udało mi się ustalić, że cała trójka zmierza w stronę postaju dorożek.

Schodząc z kanapy, dostrzegłam przyglądającą mi się z rozdziawioną buzią posługaczkę. Położyłam na ustach palec i wręczyłam jej szylinga, kupując jej milczenie. I choć transakcja ta opóźniła moje wyjście jedynie o parę sekund, wydawało mi się, że trwa całą wieczność. W wielkim pośpiechu naciągnęłam rękawiczki i szybkim krokiem opuściłam budynek umywalni. Na szczęście znalazłam się za drzwiami w samą porę: zobaczyłam szczupłą osóbkę w ciasnej spódnicy wsiadającą do czterokołowej dorożki w asyście dwóch strażniczek. Zanotowałam w pamięci numer dorożki i przyspieszyłam kroku, by wsiąść do następnej...

Daleko nie uszłam.

Nieszczęsna chwila nieuwagi i nagle stanęłam twarzą w twarz z własnym bratem.

Tym starszym, bardziej korpulentnym, Mycroftem.

Wpadliśmy na siebie niespodzianie i oboje zareagowaliśmy zaskoczeniem. Zdaje się, że wrzasnęłam. On zaś wydał z siebie przeciągły kwik, jakby ktoś wymierzył mu kuksańca w sam środek aksamitnej kamizelki. Wszystko potoczyło się tak szybko, że trudno mi powiedzieć, kto z nas wykonał pierwszy ruch – nie pamiętam, czy brat chwycił mnie za łokieć po tym czy przed tym, jak kopnęłam go z impetem w goleń. Wiem tylko, że wiałam się jak piskorz, dopóki nie udało mi się wbić z całą siłą obcasa w czubek jego buta z cienkiej skórki, co umożliwiło mi ucieczkę bez konieczności sięgnięcia po sztylet.

Gdybym natknęła się na Sherlocka, byłby to z pewnością koniec mojej wolności, jednak ucieczka przed Mycroftem nie nastroczała większych kłopotów. Słyszałam, jak sapie, biegnąc kilka kroków za mną, a po chwili wrzeszczy:

– Zatrzymajcie tę dziewczynę!

Niemal jednocześnie rozległ się mój pisk:

– Ten człowiek śmiał mnie dotknąć! – Oskarżenie tak szokujące, że część przechodniów zachnęła się z oburzenia i odwróciła w stronę Mycrofta, posyłając pod jego adresem gniewne okrzyki i piorunując go wzrokiem.

Ja tymczasem, klucząc między damskimi spódnicami i przemykając się pod łokciami dżentelmenów, ponownie wbiegłam do Umywalni dla Dam, tłumacząc nerwowo portierowi, że czegoś zapomniałam. Śmignęłam przez poczekalnię i znalazłam się w głównej części przybytku, gdzie posługaczka wyposażona we flakon z gruszką starała się przytłumić nieunikniony w takich miejscach smrodek.

– Znikaj! – warknęłam w jej stronę. Bez słowa protestu wycofała się do saloniku.

Zakładam, że kiedy wyskakiwałam przez okno na zaplecze umywalni, Mycroft zdążył wyjaśnić gapiom zaistniałą sytuację i wezwał konstabla. Nie przypominałam już młodocianej sawantki. Pozbawiony się kapelusza, rękawiczek i okularów, szara myszka zmieniła się nie do poznania za sprawą długiego, wielobarwnego, wzorzystego szala. Zawsze upycham w gorsecie tego typu pożyteczne przedmioty – po części po to, by móc się momentalnie przeistoczyć, po części po to, żeby uzupełnić to, czego poskąpiła mi natura. Wyglądałam jak Cyganicha, z obnażonymi dłońmi, głową omotaną na wzór innowierców i wlokącymi się za mną po ziemi końcówkami szala. Nie budząc podejrzeń, zesłam na stację metra, aby powrócić bez przeszkód do biura „doktora Ragostina”.

Nikt ze służby nie zauważył, kiedy weszłam, ponieważ pomna na swój nieco ekscentryczny wygląd nie skorzystałam z drzwi frontowych. Wcisnęłam jeden z elementów bogatej drewnianej ornamentacji zdobiącej ciemną fasadę jak lukier na pierniku, przemknęłam się w zaułek, otworzyłam sekretne drzwi i znalazłam się w niedostępnym dla osób postronnych pokoju, czyli w prywatnym gabinecie samego doktora Ragostina. Szczęśliwym zrzędzeniem losu przejęłam cały budynek po osobie będącej tak zwanym medium (a w gruncie rzeczy złoczyńcą, choć to zupełnie inna historia), która urzędowała tu swego czasu seanse spirytystyczne; miałam do dyspozycji ukryte za jedną z półek z książkami tajne wyjście oraz sekretną pakamerę, w której przechowywałam swoje liczne przebrania.

Odrzuciłam cygański szal, podkręciłam kurki gazowego oświetlenia i umościłam się na obitej perkalem sofie, ściągając gniewnie brwi.

Byłam na siebie wściekła. Gdybym zachowała należyte środki ostrożności, nie doszłoby do mojego spotkania z bratem. W efekcie nie dość że się zbłądziłam (bo jeszcze nie docierało do mnie radosne poczucie, że to właściwie Mycroft wyszedł za moją sprawą na błazna), to jeszcze straciłam jedyną szansę na śledzenie lady Cecyli i ustalenie, w jakie tym razem popadła tarapaty. Z nerwów wyleciał mi z pamięci numer uwożącej ją dorożki. Nie miałam żadnej poszlaki, z wyjątkiem osobliwego wachlarza, który spoczywał teraz na moich kolanach. Gdyby nie to cukierkowane różowe cacko, pewnie sama nie mogłabym uwierzyć w to, co mnie spotkało.

Podniosłam otwarty wachlarz i przyjrzałam mu się w świetle lampy, a potem wyciągnęłam spod gorsetu lupę i zbadałam go cał po calu. Miałam cichą nadzieję, że znajdę jakieś zapiski albo ukrytą wiadomość, ale zobaczyłam jedynie tandetne drewnienka, których powierzchni nie skalały żadne nacięcia czy napisy, i zwyczajny różowy papier, ozdobiony wprawdzie przypominającą znaki wodne subtelną kratką, ale również nietknięty. Podobnie jak wieńczący górną krawędź rząd puszystych piórek, wyrwanych z kupra jakiejś podwórzowej kaczcze i pofarbowanych na landrynkowy róż. Żadnych śladów na stosinach, żadnych ciał obcych wsuniętych między drewno a papier, żadnych sprytnie ukrytych kieszonek. Po prostu nic ciekawego.

Żeby to lichó. Gdyby tylko...

A niech cię, Mycrofcie! A niech was obu, i to porządnie, drodzy bracia.

Naburmuszona przeniosłam się za ogromne mahoniowe biurko „doktora Ragostina”. Tam, uzbrojona w papier i ołówek, naszkicowałam dość przerażający wizerunek Mycrofta w chwili, gdy rozpoznaje siostrę, z wysoko uniesionymi brwiami, jakby zobaczył szczura. Ulżywszy sobie nieco, już w spokojniejszym nastroju stworzyłam podobiznę lady Cecyli w spódnicy à la syreni ogon. Często, kiedy dręczą mnie wątpliwości, rozterki i dylematy, zaczynam namiętnie tworzyć tego typu rysunki, bo już dawno odkryłam, że mi to pomaga zebrać myśli.

*To oczywiście, że lady Cecyli nie jest niewolnicą mody. Dlaczego miałaby dobrowolnie wtlaczać się w tak niewygodną spódnicę?*

Ołówek śmigał po papierze. Przypomniał mi się jej płaski marynarski kapelusz.

*Dlaczego do fasonu z najnowszych żurnali dobrała zupełnie niemodne nakrycie głowy?*

Przeszłam do odtwarzania rysów jej twarzy, szkicując najpierw portrecik z profilu, a potem *en face*<sup>[1]</sup>.

*Włosy miała gładko zaczesane do góry, co u modnisi także byłoby nie do pomyślenia. Gdyby przejmowała się fryzjerskimi nowinkami, z pewnością zakryłaby swoje wysokie czoło grzywką. Przecież w tym uczesaniu wygląda zupełnie jak Alicja w Krainie Czarów. Na marginesie, mimo wspaniałych*

ilustracji autorstwa Johna Tenniela, książki Lewisa Carrolla czytałam bez większego entuzjazmu.

*No a to głupie różowe cacko?*

Wpadłszy w rysowniczy trans, po raz kolejny sportretowałam lady Cecily, tym razem z wachlarzem w dłoni, usiłując przywołać w myślach wyraz jej oczu, kiedy na mnie spojrzała...

Wstrząsnęłam się, jakby ktoś mi strzelił nad uchem z bata. Znowu poczułam dreszcz na wspomnienie kryjącej się w jej wzroku rozpacz.

*Dzieje się coś przerażająco niedobrego.*

I chociaż nie miałam pojęcia, czego konkretnie dotyczyła niema prośba lady Cecily, wiedziałam, że muszę pospieszyć jej z pomocą.

Tylko jak ustalić, co jej zagraża?

Po kilku minutach rozmyślań wstałam, podeszłam do jednego z regałów, sięgnęłam za opasły tom esejów Pope'a i zwołam ukrytą zapadkę. Półka uchyliła się bezszelestnie na dobrze naoliwionych zawiasach, a ja udałam się do swojej prywatnej „gotowni”, by poczynić nieodzowne zmiany w swoim stroju i ogólnym wyglądzie.

Postanowiłam złożyć wizytę w rezydencji Alistairów. A ponieważ lady Theodora znała mnie jedynie jako szarą myszkę, czyli doktorową Ragostin, musiałam ponownie wcielić się w tę skromną osobkę.

Nieśmiała, gapowata i pozbawiona gustu, mimo że uzbrojona w lorgnon i parasolkę, młodociana żona „doktora Ragostina” (pamiętając, by zapukać najciszej, jak to możliwe) wprawiła w ruch mosiężną kołatkę zdobiącą imponujące drzwi wejściowe miejskiej rezydencji baroneta. Wrażenie nieobeznania z najnowszymi trendami w modzie osiągnęłam, łącząc szare bawełniane rękawiczki i oklapnięty, oliwkowozielony kapelusz z kosztowną, acz szkaradną brązową suknią w drukowany rzucik. Dodatkowo wpięłam za wstążkę kapelusza i przypięłam do gorsu niemodne już od dawna kwiaty portulaki. Mam wrażenie, że jednym z głównych przeznaczeń gorsów dam jest funkcja wazonu na kwiaty. Żywiłam nadzieję, że lady Theodora mnie przyjmie; złożyłam jej już kilka wizyt i pamiętałam, iż ta olśniewająco piękna kobieta traktuje odwiedziny osoby będącej jej pełnym przeciwieństwem jak balsam na skołataną nerwy.

Kiedy jednak budzący respekt kamerdyner otworzył mi drzwi, nie ujrzałam w jego dłoniach srebrnej tacy, a on sam w ogóle nie zaszczycił spojrzeniem trzymanej przeze mnie wizytówki, choć niemal z całą pewnością mnie rozpoznał.

– Lady Theodora nie przyjmuje – rzucił.

– Czyżby jaśnie pani źle się poczuła? – spytałam, pamiętając, by mówić głosikiem dobrze wychowanego wróbelka.

– Jaśnie pani *nikogo* nie przyjmuje.

Hmm. Gdyby chodziło o zwykłą niedyspozycję, odpowiedziałby na moje pytanie twierdząco.

– Może więc jutro? – zaczęłam.

– Nie sądzę. Jaśnie pani życzy sobie pozostać w całkowitym odosobnieniu.

Czyżby miał się pojawić kolejny potomek? Jakby biedna Theodora nie urodziła dość małych Alistairsią-tek? Chyba już weszła w wiek wykluczający dalsze macierzyństwo. Czy owo tajemnicze odosobnienie było dziełem przypadku, czy miało jakiś związek z jej nietuzinkową córką?

Zdradzając oznaki zrozpaczenia, a może i umysłowej pustki, świergotałam nieskładnie:

– To doprawdy wielki zawód. Ale skoro już tu jestem... Bardzo chciałabym się spotkać... Czy mogłabym zamienić słówko z młodą lady Cecily?

– Jaśnie pani już tu nie mieszka.

Zaskoczyło mnie to z dwóch powodów. Gdzie przebywa Cecily, skoro nie ma jej w domu? I dlaczego kamerdyner tak otwarcie o tym mówi? Z jego kwaśnej miny wyczytałam, że zdążył już pożałować niedyskrecji; widać było, że moja spowita w brąz obecność zaczyna go męczyć.

Postanowiłam kuć żelazo, póki gorące, i nie ruszyłam się z miejsca.

– Doprawdy? Panna Cecily wyjechała już zapewne na wieś? – spytałam.

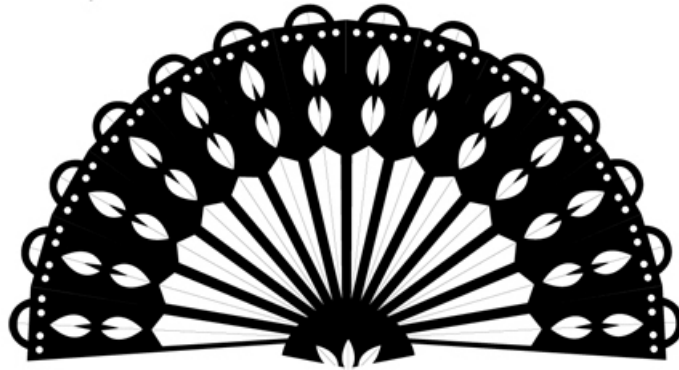
Okazało się jednak, że nic więcej z niego nie wyciągnę. Przeprosił mnie i zatrzasnął mi drzwi

przed nosem.

No i tyle z nadziei na rozmowę z lady Theodorą.

Co teraz robić?





## ROZDZIAŁ TRZECI

Tego wieczoru udałam się, przebrana za sekretarkę doktora Ragostina, Ivy Meshle, do swego wynajętego lokum i w towarzystwie gospodyni spożyłam wyjątkowo niestrawny gulasz z cynaderek i marchwi. Ponieważ pani Tupper jest głucha jak pień, nie podejmowałam rozmowy w trakcie posiłku. Potem jednak zasygnalizowałam, że pragnę pożyczyć od niej coś do poczytania. Rozłożyłam dłonie, jakbym rozpościerała gazetę, i wskazałam palcem w górę w stronę jej sypialni. W ruderze na East Endzie były tylko trzy izby: mój pokój, jej pokój oraz mieszczące się na parterze pomieszczenie, które pełniło funkcję kuchni, jadalni i salonu. Jednak poczciwina nie zrozumiała, o co mi chodzi. Pochyliła się w moją stronę nad stołem i wrzasnęła:

– Co? Mówi pani, że na górze załagał się nietoperz?

Koniec końców musiałam pójść z nią na piętro i wskazać palcem na stertę czasopism plotkarsko-towarzyskich.

Pierwszym krokiem do ustalenia miejsca pobytu lady Cecyli i pospieszenia jej z pomocą będzie bowiem ustalenie tożsamości dwóch eskortujących ją smoczyc.

Śledzenie wydarzeń z życia wyższych sfer było zajęciem, którym jako osoba o demokratycznych poglądach do tej pory gardziłam. Miałam więc do nad-robienia sporo zaległości. Przeniósłszy zgromadzone przez panią Tupper periodyki do swego pokoiku, z ulgą zrzuciłam z siebie suknię, a także pozbyłam się uzdatniacza biustu, regulatorów bioder, gorsetu, wkładek korygujących z nosa i spod policzków, kędzierzawej grzywki i sztucznych rzęs. Następnie otuliłam się wygodnym szlafrokiem, wsunęłam na nogi bambosze i zabrałam się do lektury.

Nie powiem, żebym się szczególnie nią delectowała. W ciągu kilku kolejnych godzin dowiedziałam się, że krokiet jest już mocno *passé*<sup>[2]</sup>, tenis i łucznicstwo wciąż *à la mode*<sup>[3]</sup>, jednak najpopularniejszym sportem wśród dam staje się golf. Lord de Dzwoniec i lady de Pietruszka byli widziani na wspólnej przejażdżce po Hyde Parku; dama miała na sobie suknię od Wortha z krzykliwej francuskiej mory o barwie *ciel-bleu*<sup>[4]</sup>. Jakaż szkoda, że pałac Kensington pozostaje niezamieszkały mimo generalnego remontu. Najświetniejsi goście zaszczycili uroczystość chrzcina nowo narodzonego Takiego-To-A-Takiego, pierworodnego potomka lorda Takiego-Śmakiego, hrabiego Mniejsza-O-To-Czego. Satyny już się nie nosi, nosi się *peau de soie*<sup>[5]</sup>. W Galerii Ach-Co-Za-Sznyt trwa właśnie wystawa obrazów olejnych ilustrujących rozkwit Imperium Brytyjskiego. Wicehrabia i wicehrabina Z-Dziada-Pradziada ogłosili zaręczyny swej córki O-Wielu-Imionach z Widokiem-Na-Przyszłość, młodszym synem hrabiego Błękitna-Krew. Okrutnie rozboleła mnie od tego wszystkiego głowa i miałam wrażenie, że lada chwila postradam zmysły, chociaż przejrzałam zaledwie jedną czwartą przyniesionej sterty. Oglądałam zdjęcia z przyjęcia wiosłarskiego księżnej Kaczej-Łapy, z dorocznego bankietu krykietowego barona Bulwiastego-Nosa, z balu debutantek, na którym zaprezentowała się światu panna Talia-Osy, i kilkadziesiąt innych, jednak nie udało mi się tam wypatrzeć żadnej z dwóch poszukiwanych nieprzyjemnych damskich fizjonomii.

Kiedy zapadł zmierzch, z ulgą podniosłam się z krzesła. Nie chciałam nadwerężyć wzroku dalszym czytaniem przy świecy. Sięgnęłam pod materac, by wyciągnąć z ukrycia ciemne znoszone

ubranie, w którym wychodziłam na nocne spacery po mieście.

Z nastaniem wiosny ubodzy mieszkańcy okolicznych ulic nie potrzebowali już tak bardzo pomocy. A ponieważ mój brat Sherlock dowiedział się o moim alter ego, czyli Siostrze Miłosierdzia, musiałam się pozbyć czarnego habitu z głębokimi kieszeniami. Wciąż rozdawałam nędzaczkom miedziaki, jednak wcielałam się teraz w zupełnie inną postać. Krążyłam po nocy jako „śmieciucha”, czyli osoba zajmująca się poszukiwaniem szmat (na potrzeby papierni), kości (do nawożenia ogrodów), metalu (dla hut) i resztek jedzenia (z pewnością nie na potrzeby własne). Ubierałam się na te eskapady w wyświechtaną spódnicę i szal, poruszałam się, kulejąc i powłócząc nogami, w jednej dłoni ścisnęłam odrapaną latarnię, drugą przytrzymałam przewieszony przez zgarbione plecy konopny wór.

Jakaś wrodzona potrzeba działania ciągnie mnie nocami na ulice miasta, jednak tym razem moje przebranie służyło określonej celowi: chciałam zdobyć lepsze rozeznanie w topografii Londynu jako takiego, nie tylko East Endu. Zbieracze śmieci mogli krążyć po całym mieście bez obaw, że zostaną przegnani – stali bowiem na straży cnoty oszczędności. Oczywiście, wymogi przyzwoitości nakazywały, by tak niemiłe oczom osoby zjawiały się pod osłoną nocy, jednak tylko największe kutwy i sknery przepędzały tak ciężko pracujących przedstawicieli „godnych wspomaganie nędzaczy” ze swego obejścia.

Nie musiałam się upewniać, czy pani Tupper śpi, czy czuwa, ponieważ ta zacna głucha dusza i tak nie usłyszałaby, że wychodzę. Zarygłowałam za sobą drzwi i wyszłam na zatłoczoną ulicę – kiedy robiło się cieplej, dzielnice slumsów tętniły życiem aż do północy. Minęła mnie grupka podtrzymujących się za ramiona mężczyzn, którzy, zataczając się, śpiewali jakieś pijackie kuplety. Na rogu, w świetle ulicznej latarni, obdarte kobieciny zszywały worki na mąkę i inne towary sypkie; robota pozwalająca podreperować budżet, póki ręce i oczy nie odmówiły posłuszeństwa. Na kolejnym rogu zgromadziły się nieco inne panie, wydekoltowane i pokazujące nóżki, także zajęte pracą, choć nie było to szycie. Wśród całego tego rozgardiaszu na każdym kroku pałętały się jakieś dzieciaki. Czasami odnosiłam wrażenie, że jedna druga ludności Londynu to nieletni, z czego połowa to sieroty – dziewczyny ze slumsów często zostawały matkami w wieku piętnastu lat i umierały, nie dożywając dwudziestki – a druga połowa to Jasie i Małgosie, wypuszczone samopas przez rodziców, których nie było stać na ich utrzymanie.

Tak wyglądała wschodnia część Londynu. Ale wystarczyło przejechać się kawałek metrem, by po dziesięciu minutach znaleźć się na West Endzie, gdzie czekał na mnie zupełnie inny świat.

Niebo a ziemia w porównaniu z tym, co oglądałam na co dzień. Zobaczyłam pogrążone we śnie sześciokątne budynki oplecione bluszczem, otoczone kutymi parkanami broniącymi wstępu do prostokątnych przedogródków. Szerokie i opustoszałe ulice kończyły się kolejnymi prostokątami – wykładanymi brukiem. Całość przypominała mozaikę kamiennych i ceglanych kanciastych form, której nie potrafiłam rozgryźć. Kto tu mieszka? Oto willa we włoskim stylu, z kwadratowymi wieżyczkami. Czy należy do nuworyszów, czy do zubożałej arystokracji? A ta kamienica z mansardowym dachem w stylu Drugiego Cesarstwa? Siedlisko niezamężnych ciotek czy *dilettantes*<sup>[6]</sup>? A ten dom z przesadną liczbą zwieńczeń w stylu królowej Anny? Własność lekarza? Czy może dandysa?

Część budynków miała oświetlenie gazowe, część tonęła w mroku. Wędrowałam pustymi ulicami, nie spotykając nikogo, poza mężczyznami zajętymi opróżnianiem wychodków. Większość domów była już skanalizowana, jednak na niektórych podwórzach wciąż stały wygodki, których zbiorniki należało co jakiś czas opróżnić, a że czynność była odrażająca, robiono to pod osłoną nocy. Po mieście krążyły wozy z wielkimi metalowymi cysternami. Kiedy ucichł turkot kół (niestety, zapach pozostawał na dłużej), nie widziałam i nie słyszałam nikogo – nie licząc kroczącego miarowo konstabla na służbie.

– Dobry wieczór, złotko – pisnęłam, kiedy podszedł bliżej.

– I dobrego wieczoru nawzajem życzę, kochanieńka. – Jowialny Irlandczyk pokręcił pałą i z uznaniem spojrzął na worek, który niosłam na plecach. – Nos podpowiedział mi, po przejeździe śmierdzieli, że pod numerem czterdziestym czwartym jedli dziś na kolację udawaną zupę żółwiową.

– Dziękuję uprzejmie.

Ruszyłam we wskazanym kierunku, zapalając swoją nędzną latarenkę. I rzeczywiście, na tyłach

budynku numer czterdzieści cztery znalazłam wygotowaną głowę cielęcia.

Analiza zawartości przydomowych śmietników pozwala wysnuć wiele ciekawych wniosków. A w tym przypadku... Być może mieszkańcy tego domostwa mają aspiracje przekraczające ich rzeczywiste możliwości. Autentyczna zupa żółwiowa to ulubiony rarytas na stołach bogaczy.

Znalazłszy się w zaułku na tyłach zabudowań, bogatsza o głowę cielęcia i podbudowana uprzejmością konstabla, zaczęłam chodzić zygzakiem od podwórza do podwórza. Wchodziłam zazwyczaj przez otwartą bramę na podjazd, na którym urzędował pies, witający mnie z obowiązku szczekaniem. Po chwili chłopiec lub stajenny uciszał wiernego stróża, przyjrzawszy mi się ze swojego okienka na strychu. Wkroczywszy na skrywane przed oczyma światła zaplecze tej części miasta, zaczęłam klasyfikować w myślach jego mieszkańców. Bywało, że za powozownią urządzono mały warzywniak, korzystając z dostępności końskiego nawozu i słomy: dowód na to, że właściciele to ludzie solidni i zdrowo myślący. Część domów wydawała się opuszczona, pogrążona w oczekiwaniu na powrót gospodarzy z zagranicy. Na wielu podwórkach można było znaleźć ślady obecności dzieci w postaci walających się po kątach obręczy, piłek w jaskrawe pasy, klaszczących małych na kółkach. U kogoś pomieszkiwała krawcowa, u której najwidoczniej obstalowano wiosenną garderobę dla całej rodziny, ponieważ znalazłam wśród odpadków końcówki wielobarwnych nici oraz skrawki najprzeróżniejszych tkanin, od serży po taftę. Spakowałam je do worka, przyświecając sobie latarnią.

Przy kolejnym domu okazała się ona zbędna. Zbliżając się do ogrodzenia, zobaczyłam zamontowane na zewnątrz palniki gazowe, które z jakiegoś powodu płonęły pełnym blaskiem, jak współczesna wersja pochodni. Straszne marnotrawstwo i dziwactwo.

Brama wjazdowa okazała się zamknięta na kłódkę, jednak przez pręty ogrodzenia widać było wyraźnie, że za rogiem powozowni piętrzy się sępa kości.

Kiedy już raz zaczniemy coś zbierać, to niezależnie od przyświecającego nam celu, dość szybko przeradza się to w rodzaj manii. I mimo że pod koniec nocy planowałam oddać wszystkie znalezione przeze mnie skarby pierwszemu napotkanemu żebrakowi lub żebraczce, widok kości obudził we mnie nieodpartą chęć ich zdobycia. Zapomniałam, że mam być przygarbioną i kulejącą mieszkanką slumsów. Momentalnie przelażłam przez parkan (uwielbiam się wspinać i rzadko mam po temu okazję, ponieważ nie jest to rozrywka dla dobrze wychowanych panien). Z lekkim sercem i z lekkością piórka zeskoczyłam na ziemię i ruszyłam w stronę upatrzonej zdobyczy.

Ale nie uszłam nawet trzech kroków, kiedy sparaliżował mnie ryk godny tygrysa bengalskiego. Zobaczyłam szarżujące na mnie jak oszalały koń ogromne bydło.

Bogowie! Nie zauważyłam psiej budy schowanej za powozownią. Prawowity właściciel kości, czyli rosły mastiff, chciał mi rozszarpać zębiskami gardło.

Nie było czasu na ucieczkę za parkan. Wpadłam w panikę i sięgnęłam za gors, by wyciągnąć sztylet, kiedy niespodziewanie bestia zatrzymała się w miejscu, choć nie przestawała wydawać z siebie przerażających ryków i warknięć.

Co się stało? Dlaczego nie padłam ofiarą jej zębów?

I wtedy to zobaczyłam.

Wielkie nieba!

Mastiff zatrzymał się na dalekim skraju innego, wewnętrznego ogrodzenia. Ale nie był to zwyczajny parkan. Chyba że się myliłam...

– Co tam masz, Lucyferze? – rozległ się nieprzyjemny głos. Spośród rosnących w głębi buków wychynął zwalisty mężczyzna, przypominający jako żywo swojego brytana, i podszedł do krawędzi wewnętrznego ogrodzenia.

Do tak zwanej ukrytej granicy, określanej mianem „aha”.

Był to głęboki, wykładany kamieniami rów, współczesny wariant średniowiecznej fosy, dość często spotykany w wiejskich posiadłościach, których właściciele nie chcieli ograniczać sobie widoków przez mury lub parkany, nie życząc sobie przy tym niepożądanych wizyt ze strony ludzkich czy zwierzęcych intruzów. Ale kto buduje coś takiego w mieście? I po co?

– Śmieciucha – stwierdził grubas, patrząc na mnie ze wstrętem jak na karaczana, który zasługuje

jedynie na to, by go rozgnieść na podszwie. – Jakżeś tu wlała?

Zrobiłam wszystko, żeby stać się malutka i niewidoczna, co przy gabarytach mówiącego nie było szczególnie trudne – i nie odpowiedziałam, tylko gapiłam się z otwartymi ustami na ukrytą fosę.

– Nie wiesz, co to, ptasi mózdzku? – W jego głosie zabrzmiała kpina. – To jest aha. A wiesz, czemu się tak nazywa, głupia babo? Bo kiedy wpadasz do środka, przychodzimy, patrzymy na ciebie z góry i mówimy: mamy cię, aha! Ha, ha!

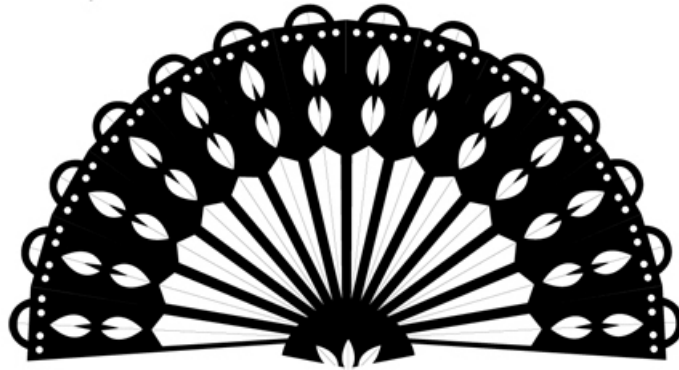
Było w jego głosie coś, co przeraziło mnie jeszcze bardziej niż wściekłe szczekanie mastiffa. Zaczęłam się nerwowo wycofywać.

– Ha, ha! Aha! Ha, ha!

Schowałam się w mroku za powozownią, znikając olbrzymowi z oczu, i wspierałam się na ogrodzenie z kutego żelaza.

– Aha! Ha, ha! A potem odchodzimy – ryknął za mną – i zostawiamy cię tam na pewną śmierć!

W sumie nie groziło mi żadne niebezpieczeństwo. A jednak przestałam dygotać ze strachu, dopiero gdy dotarłam z powrotem do swego pokoiku i zakopałam się w pościeli.



## ROZDZIAŁ CZWARTY

Następnego ranka zjawiłam się przed pełną fikuśnych zdobień i wieżyczek fasadą gotyckiej kamienicy, w której urzędował „doktor Ragostin”, taszcząc pod pachą spore naręcze czasopism towarzyskich.

– Dzień dobry, panno Meshle! – zawołał mój niereformowalny chłopiec na posyłki, otwierając mi szeroko drzwi.

– Skoro tak twierdzisz, Joddy. – Byłam w dość ponurym nastroju, mimo że przez perkalowe zasłonki sączył się do środka blask majowego słońca. Wciąż dręczyło mnie wspomnienie dziwacznych wydarzeń ubiegłej nocy. Postanowiłam jednak nie tracić czasu na myślenie o nich, ponieważ najważniejsza była teraz dla mnie kwestia osobliwego różowego wachlarza. Tajemnicze zachowanie lady Cecyli ciążyło mi na duszy, podobnie jak trzymane w rękach periodyki. Dlaczego wysiliła cały swój spryt, by mi przekazać swoją papierową „zabaweczkę”, skoro nie można z niej było niczego wyczytać?

Westchnęłam, kazałam Joddy’emu przynieść mi poranne gazety, zadzwoniłam po herbatę i rozsiadłam się za biurkiem, by zagłębić się w lekturze prasy z Grub Street i wzbogacić swoją wiedzę na temat śmietanki towarzyskiej o kolejne fakty. Lord Globtroter wygłosi prelekcję dla Koła Pań Bezmyślnych na temat swojej ostatniej podróży po Nilu... Jaśnie wielmożna panna Dezaprobata zrywa zaręczyny z równie jaśnie wielmożnym panem Zawodnym... Aby zmiękczyć i upiększyć włosy, ubij pianę z białek, wetrzyj w skórę głowy i pozostaw... Wiosenna nowość, domowa suknia cięta ze skosu o niewidocznych szwach... *Zaraz zwiariuję...* Ostatni krzyk mody: spotkania towarzyskie podporządkowane jednej barwie: żółte obiady, różowe...

*Zaraz, zaraz.*

Różowa Herbatka, tak obecnie modna, to dość kosztowny sposób bawienia gości, jednak każda z pań woli popaść w długi niż pozostać w tyle za modą. Oto jak powinna wyglądać prawdziwa Różowa Herbatka: obrusy i serwetki muszą być różowe, porcelana utrzymana w delikatnym odcieniu różu, wszystko można na tę okazję wypożyczyć. Białe ciastka układamy na piętrowych paterach wyłożonych wycinanym we wzory różowym papierem, torty z różowym lukrem wykładamy na niskie patery wyłożone wycinanym we wzory białym papierem. Stół powinny oświetlać kandelabry z różowymi świecami, przystrajamy go także kwieciami w rozmaitych odcieniach różu, natomiast służbę podającą do stołu ubieramy w różowe czepki i różowe fartuszki. Kremy i lody serwujemy w wyczarowanych z różowego papieru koszyczkach, puzdereczkach, muszlach czy miniaturowych taczkach. Te i inne ozdóbki w wielu pięknych wariantach można kupić w każdej szanującej się modnej firmie...

Papierowe ozdóbki.

Różowe.

A może zaliczają się do nich tandetne różowe wachlarze?

Jakiś trop, jakiś ślad, bardzo nikły... Ale zawsze lepszy rydz niż nic.

Wyprostowałam się, pociągnęłam za szarfę dzwonka i kiedy pojawiła się (w zastępstwie nieobecnego Joddy’ego) kuchenna, poprosiłam ją, by przekazała paniom Bailey i Fitzsimmons prośbę o zaszczytowanie mnie na chwilę swoją obecnością.

Spieszę wyjaśnić, że gotycka kamienica „doktora Ragostina” mieściła nie tylko biuro, które trzeba było obsłużyć, lecz także całą masę pokoi na wynajem (będących gwarantem mojej stabilności finansowej). Pani Fitzsimmons pełniła funkcję gospodyni lokatorów, pani Bailey zaś – ich kucharki.

Po chwili obie dzielne niewiasty stały się przede mną w identycznych białych czepkach i z identycznym wyrazem niedowierzania na pulchnych twarzach. Po paru miesiącach pracy na rzecz „doktora Ragostina”, którego ani razu nie dane im było zobaczyć, podejrzewały już z pewnością, że jestem kimś więcej niż zwykłą sekretarką.

Przywitawszy się z nimi uprzejmie – nie prosząc jednak, by usiadły – spytałam:

– Gdzie można znaleźć firmę dostarczającą gotowe potrawy i ozdoby na przyjęcia?

Pani Bailey nastroszyła się jak jeź w swoim rurkowanym czepcu.

– A na co pannie taka firma? Sama wszystko potrafię...

Uciszyłam urażoną kucharkę, zanim zdążyła wytoczyć ciężkie działa w obronie swojego królestwa:

– Pytam tylko, gdzie takich firm szukać.

Miałam na myśli określoną część miasta. Londyn cechował się tym, że przedstawiciele danej branży trzymali się razem: bankierzy opanowali Threadneedle Street, krawcy – Savile Row, wydawcy plotkarsko-towarzyskiej prasy – Grub Street, lekarze – Harley, handlarze ryb – targowisko Billingsgate.

Po krótkiej wymianie zdań panie Fitzsimmons i Bailey stwierdziły zgodnie, że większość firm prowadzących usługi gastronomiczne mieści się w okolicach Gillyglade Court, na obrzeżu eleganckiej dzielnicy sklepów, której osią jest Regent Street.

Godzinę później na skraju owej mekki handlu zatrzymała się dorożka, z której wysiadła młoda dama o nienagannych manierach, czyli ja. Przeistoczyłam się w nią w zaciszu swojej sekretnej garderoby, gdzie starłszy róż, wyjąwszy wkładki z nosa i policzków, odkleiwszy sztuczne rzęsy, usunąwszy treski i całą resztę upiększeń, zwieńczyłam swoją pociągłą, ziemistą arystokratyczną twarz przepysznie utrefioną peruką, do której przyspiliłam kapelusz, a raczej coś w rodzaju poduszki z piór i koronek. Odrobinka perfum i pudru, potem absolutnie boska suknia spacerowa z seledynowej szwajcarskiej tkaniny w kropeczki z najmodniejszymi bufiastymi rękawami, perłowszare botki, rękawiczki z kozłęcej skórki, biała parasolka z organzy i *voilà!*<sup>[7]</sup> Przedstawicielka wyższych sfer w każdym calu, pominąwszy sztylet w gorsecie, przysłonięty gustowną broszką z opalami.

Regent Street i przyległe ulice można opisać trzema słowami: szkło, gaz i brąz. Za błyszczącymi szybami łukowatych witryn, oświetlonych rzęsiście niezliczonymi lampami, piętrzyły się luksusowe towary. Tego pięknego, słonecznego dnia wypucowane mosiężne klamki i okucia lśniły bardziej niż zwykle, ponieważ nie osiadała na nich sadza. Szeleszcząc jedwabnymi halkami i wlokąc za sobą po ziemi tren spódnicy, wędrowałam od jednego olśniewającego sklepu do drugiego, kręcąc w dłoni parasolką i obdarzając stojących za kontuarami subiektów uroczym, acz protekcyjnym uśmiechem. Po krótkiej chwili moja pozornie bezcelowa wędrówka zaprowadziła mnie na Gillyglade Court.

Wystarczyło, że przekroczyłam próg, by mój elegancki strój i arystokratyczny akcent budziły w subiektach natychmiastową gotowość i usłużność. Dość szybko udało mi się odszukać kilka firm prowadzących usługi gastronomiczne. Ich pracownicy przedstawiali mi aż nader dokładnie swoją ofertę. Mogłabym od ręki wypożyczyć perskie maszyny do kawy z polerowanego srebra, talerze z prasowanego szkła, paprotki w doniczkach, rozkoszne w swojej nieprzydatności kwietne stroiki na środek stołu czy też złote klatki ze słowikami do zawieszenia pod sufitem; oferowano mi liczne warianty siedmiodaniowych jadłospisów, karty win, a także ogromny wybór „słodkości” z ofertą specjalną w postaci cukierków z dowcipnymi sentencjami na papierkach.

Właściciele firm prześcigali się w wyczarowywaniu najrozmaitszych gadżetów z papieru.

– Słyszałam, że tej wiosny najmodniejsze będą różowe herbatki – oznajmiałam w każdym z pięciu odwiedzonych przeze mnie miejsc, rozglądając się leniwie wokół przez lorgnon.

Odpowiedź za każdym razem brzmiała podobnie:

– W rzeczy samej, w rzeczy samej. – Po czym podsuwano mi pod nos całe mnóstwo różowych cacuszek: różowe szydełkowe serweteczki, różowe stokrotki, różowe żagłoweczki na słodycze, różowe



miseczki zdobione papierowymi płatkami róż, wiewióreczki z różowego papieru, cylindry, grzybki, wielbłądy, piramidy...

Przyglądałam się temu wszystkiemu z lekkim, acz widocznym niesmakiem, po czym odzywałam się powątpiewająco:

– Sama nie wiem... Nie ma czegoś bardziej eleganckiego? Może jakieś wachlarze?

Nie, nie prowadzili takiego asortymentu.

Poszczeniło mi się dopiero w szóstej firmie.

– A tak, tak, przygotowaliśmy je na specjalne zamówienie wicehrabiny Inglethorpe. Cieszyły się takim uznaniem, że wprowadziliśmy je do swojej oferty. Proszę chwilę poczekać, zaraz przyniosę.

I moim oczom ukazał się różowy wachlarz.

Na pierwszy rzut oka identyczny z tym, który przekazała mi potajemnie lady Cecily.

– Proszę mi go pokazać – zażądałam, zachowując władczy ton, choć zapomniałam na chwilę o udawanej obojętności. Chwycałam różowy przedmiot i podniosłam go do światła, przyglądając mu się... Nie, gapiąc się nań przez lorgnon, bo coś mi tu nie pasowało. Był inny. – Czy z tego samego papieru wykonano...?

– Wachlarze dla wicehrabiny Inglethorpe? Tak, były dokładnie takie same.

Różowy papier dobrej jakości, ale gładki. Bez zdobień w postaci znaków wodnych.

Stałam tak przez dłuższą chwilę. Z pewnością nieszczęsny kancelista zachodził w głowę, dlaczego tak marszczę brwi.

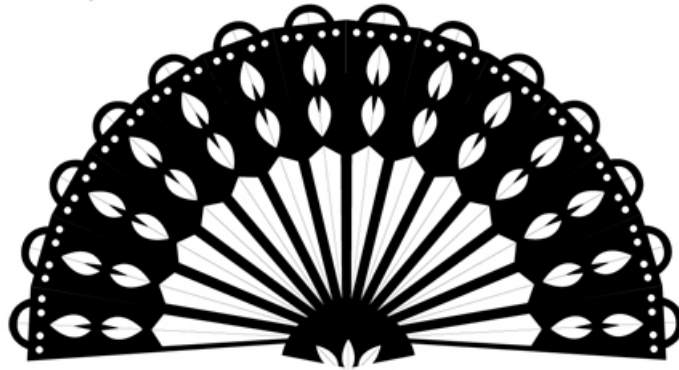
– Czy mogę go sobie wziąć? – spytałam gniewnym tonem, choć złościłam się tylko i wyłącznie na siebie.

– Oczywiście.

– Dziękuję. – Wysłałam spiesznie i bez wdzięku, po czym mrużąc do siebie pod nosem, ruszyłam w stronę najbliższego postoju dorożek. – Ślepotą. Dotknęła mnie ślepotą.

Jak mogłam przeoczyć coś tak prostego i oczywistego?

Ech. Ciamajda ze mnie. Fujara. *Glupia gęś*. Ale wiedząc już, o co chodzi, odgadłszy tajemnicę przekazanej mi w sekrecie poszlaki, byłam pewna, że niebawem dowiem się prawdy o tym, w jakie tarapaty wpadła lady Cecily.



## ROZDZIAŁ PIĄTY

Panna Meshle wróciła do swoich pieleszy o wiele wcześniej niż zwykle. Bezskutecznie usiłowała pozdrowić uśmiechem zaskoczoną panią Tupper i równie zbaraniałą dziewczynę do wszystkiego.

Na szczęście głuchota pierwszej i niski status społeczny drugiej zwalniały mnie z udzielania jakichkolwiek wyjaśnień. Skinęłam im głową, pomachałam dłonią i pomaszerowałam na górę. Kiedy tylko znalazłam się w pokoju i przekręciłam klucz w zamku, odszukałam osobliwy różowy wachlarz. Uniosłam go do okna i jeszcze raz przyjrzałam się bladym liniom na różowym papierze – znaczkom, które wzięłam za dekoracyjną krataczkę wykonaną techniką znaków wodnych.

Przyznaję ze skruchą, że powiedziałam coś bardzo brzydkiego. Przecież od razu mogłam się domyślić.

Wiedziałam jednak, że w nerwach wiele nie zdziałam. Opanowałam emocje, wzięłam zapalniczki i zapaliłam wszystkie osadzone w małym kandelabrze świece. A potem ponownie sięgnęłam po tajemniczy różowy wachlarz, rozłożyłam go najszerzej, jak się dało, i zaczęłam ogrzewać nad płomykami, uważając, by nie osmalić papieru.

Przesuwałam go powolutku, nagrzewając równomiernie całą jego powierzchnię. Po chwili na różowym tle pojawiły się brązowe kreski.

Tak.

Niewidzialne pismo.

Z uznaniem stwierdziłam, że lady Cecily, jak na prawdziwą artystkę przystało, posłużyła się cieniutkim pędzelkiem, nie stalówką. W przeciwnym razie na papierze po wyschnięciu niewidzialnego atramentu (którym prawdopodobnie był sok z cytryny) pozostałyby podejrzane ślady.

Serce zaczęło mi trzepotać, bo po chwili tajna wiadomość utrwalona na wachlarzu była niemal gotowa do odczytu.

A raczej do odszyfrowania.

Kiedy miałam już pewność, że wszystkie ślady soku na różowym papierze zbrązowiały, usiadłam z przenośnym blatem do pisania na kolanach, chwyciłam kartkę papieru kancelaryjnego i ołówek, by przepisać zaszyfrowaną wiadomość na wypadek, gdyby oryginał zaczął blaknąć. Nawet teraz z trudem dostrzegałam znaki. Metodą prób i błędów otrzymałam taki zapis:

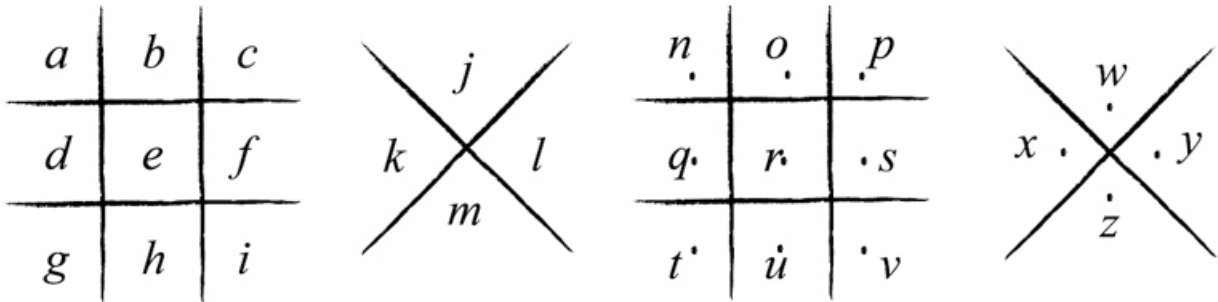
L U ^ U L < ^ J ^ > J □ □ □ J V  
L U > U V □ □ < U □ ^ U J J  
V □ □ < □ J □ □

Kilka tygodni wcześniej, w okresie całkowitej bezproduktywności i – muszę się przyznać – dojmującego poczucia osamotnienia, nabyłam i przeczytałam pewną książkę poruszającą temat tajnych

wiadomości i szyfrów. Nie była to publikacja, po którą normalnie bym sięgnęła, jednak akurat ta „błahostka” (cytuje słowa samego autora) wyszła spod pióra Sherlocka Holmesa, czyli mojego rodzonego brata. Czytałam ją raz po raz, by „usłyszeć” jego rzeczowy i pełen chłodnej pasji głos.

Dzięki Sherlockowi wiedziałam teraz, że mam przed sobą szyfr „masoński”, wymyślony przez wolnomularzy w XVIII wieku. Choć, prawdę mówiąc, mogłabym spokojnie odczytać zapis i bez znajomości doskonałego dziełka swego brata, ponieważ ten „sekretny szyfr” został już odarty z dawnej tajemniczości, będąc w powszechnym użyciu wśród uczniów i uczennic szkół. Można było odczytać go z taką łatwością, że aż dziw bierze, iż lady Cecyli zadała sobie trud zapisania wiadomości za pomocą znaków.

U góry kartki rozrysowałam klucz:



Teraz należało odszukać „zasobnik”, w którym znajdowała się dana litera. Proste do granic absurdu. Odszyfrowanie wiadomości nie nastęrczało żadnego trudu. Raz dwa podstawiałam odpowiednie litery.

COMOCYMAMKAVETAW

CBXBWUTLBDZBNA

JESLINIE

I to było wszystko.

– Niech to diabli – mruknełam, patrząc na niezbyt składną treść. Jedyne słowa, które miały jakikolwiek sens, to „mamka” i widniejąca na samym końcu zbitka „jeslinie”.

„Jeśli nie”? Jeśli nie co? Wyrażenie to poprzedza zwykle jakieś ultimatum. „Postąp tak a tak, jeśli nie chcesz dostać w skórę” albo: „nie rób tego i owego, jeśli nie...” Jeśli nie co? Zdanie nie powinno się kończyć tym zwrotem.

Czułam w kościach, że odkryłam straszną prawdę: lady Cecyli nie była w stanie dokończyć wiadomości, którą chciała przekazać. Z pewnością przez cały czas ktoś ją miał na oku. Szkoda, że nie spróbowała zapisać treści normalnym pismem, zajęłoby to znacznie mniej czasu.

Niebawem zdałam sobie jednak sprawę, dlaczego tego nie zrobiła. Niewidzialny atrament, chociaż przezroczysty, zostawia pewne ślady. Można je dostrzec, trzymając oświetloną kartkę pod odpowiednim kątem. Zwykle pismo mogłoby wzbudzić podejrzenia, ale szyfr z prostych kreseczek ładnie zlewał się z różowym tłem, tworząc coś w rodzaju ozdobnej siateczki. A jednocześnie był łatwy do odczytania.

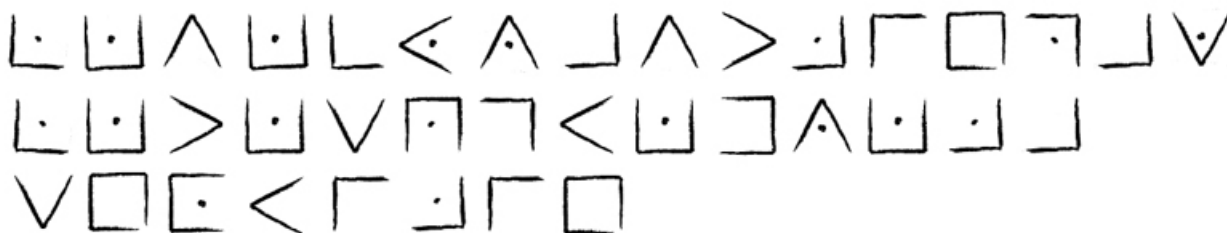
Sprytny pomysł.

Widać, że nadawczyni wiadomości była w rozpaczliwej sytuacji. Użyła niewidzialnego atramentu, by zapisać szyfrem wiadomość na wachlarzu, a potem przekazała ją pierwszej rozpoznanej osobie, z którą miała kiedyś krótką styczność. Był to rozpaczliwy krzyk o wsparcie, o wyratowanie z opresji, o pomoc... Oczywiście. Pierwsze słowo to wcale nie COMOCY, tylko POMOCY. Zaszifrowane P wyglądało niemal tak samo jak C, ale zawierało dodatkowo kropkę, którą przeoczyłam.

Ale co oznacza *mamka*?

Eureka! Kolejne słowo to *zamknięta!*

Znów chwyciłam ołówek i przystąpiłam do odczytywania szyfru, pamiętając o kropkach. W końcu udało mi się otrzymać coś takiego:



POMOCYZAMKNIETAW

POKOJUGŁODZONA

JESLINIE

Czyli w zrozumiałym języku: „Pomocy! Trzymają mnie w zamknięciu i głodzą, chyba że...”

Przyznaję, że zaraz po odczytaniu tajemnej wiadomości poczułam ogromną satysfakcję. Dreszczyk emocji towarzyszący złapaniu właściwego tropu. Zaraz potem przyszło olśnienie: eureka! Wreszcie pojęłam, dlaczego lady Cecyli paradowała w tak idiotycznej spódnicy. Zmuszono ją do tego, by uniemożliwić jej ucieczkę spod kurateli przypominających dwie smoczyce przyzwoitek. Teraz, po zrobieniu jakichś niezbędnych sprawunków na mieście, znów pewnie zamknęły dziewczynę pod kluczem. Ale gdzie? To się dopiero nazywa sprawa zaginionej osoby! Wyobraźnia podsunęła mi od razu wizje poszukiwań, przygód, być może nawet odbicia uwięzionej...

I niemal równie szybko mój entuzjazm ustąpił przerażeniu. Czy zdołam ją odszukać na czas? Czy dotrę do niej, zanim...?

Zanim co? Trzymają ją w zamknięciu i głodzą, chyba że co?

Chyba że ulegnie jakiemuś żądaniu, rzecz jasna. Chyba że posłusznie wypełni rozkaz, przed czym się do tej pory wzbraniała. Chyba że się zgodzi...

– O nie... – wyszeptałam na samo wspomnienie. – To okropne! Czy chodzi o...?

*Panna młoda musi mieć wyprawę i będziesz ją miała* – przypomniały mi się słowa wypowiedziane przez jedną z przyzwoitek.

Nie bardzo wiedziałam, jak wygląda wyprawa i co się do niej zalicza; domyślałam się, że chodzi głównie o drogie koronkowe części garderoby, których nazwy wypada przemilczeć. Ale dobrze wiedziałam, co taka wyprawa oznacza.

Przywiozły ją do Londynu, żeby skompletować wiano panny młodej.

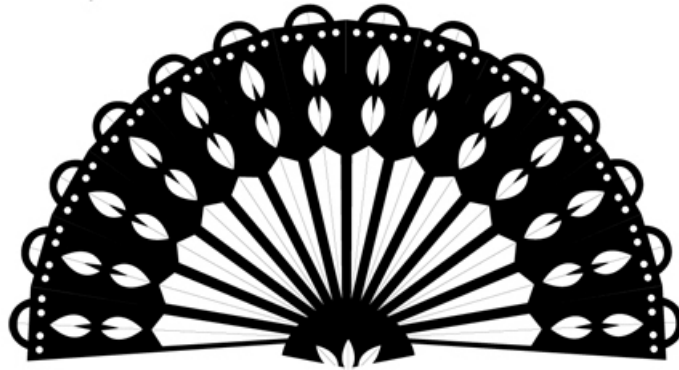
A to by oznaczało, że jeszcze go nie ma. Zabrakło okresu narzeczeństwa, w którym szyje się z miłością wstążki i falbanki – i nie było czasu, by kupić i sprowadzić odpowiedni modny zestaw z zagranicy.

Przerażona zerwałam się na równe nogi, a papier, ołówek i blat upadły na podłogę.

Lady Cecyli miała wyjść za mąż.

I to niebawem.

Wbrew własnej woli.



## ROZDZIAŁ SZÓSTY

Musiałam ją odszukać. Musiałam ustalić miejsce jej pobytu i ocalić ją przed tym okropnym i niesprawiedliwym losem.

Ale jak?

*Enolu, uspokój się. Myśl* – odezwał się w mojej głowie znany głos. Głos mojej matki. Przywołałam na chwilę w myślach jej wizerunek.

Wspomnienie, które zwykle działało kojąco, tym razem wzbudziło w mojej psychice jakiś dziwny dyskomfort: wiecznie odkładałam misję odszukania mamy na później. Dlaczego?

Czyżbym nie chciała jej ponownie zobaczyć?

Co ze mnie za córka?

Ale przecież to mama pierwsza uciekła z domu, nie ja.

Czy wciąż nie potrafię jej tego zapomnieć?

Niech to licho! Do diabła z pytaniami, na które nie znałam odpowiedzi... Nie, na które nie chciałam odpowiadać.

Postanowiwszy je zagłuszyć, usiadłam, podniosłam z podłogi papier i ołówkę, po czym powiedziałam sobie, że w tak dramatycznych okolicznościach kwestia ustalenia miejsca pobytu lady Cecyli ma pierwszeństwo. Sprawą mamy mogę się zająć później. A dopiero potem rozwikłałam zagadkę zaginięcia kości udowej generała, z której na dobrą sprawę stary wojak nie będzie już miał większego pożytku.

Wróćmy więc do lady Cecyli. Co wiedziałam na pewno?

Prawie tyle co nic.

No dobrze: co mogłam zakładać?

Napisałam:

*Jej matka przebywa w odosobnieniu.*

*Nie wyobrażam sobie, by lady Theodora sprzyjała wydawaniu pańien za mąż pod przymusem.*

*Lady Cecyli została rozdzielona z matką.*

*Prawdopodobnie za sprawą sir Eustace'a.*

To miało ręce i nogi. No bo co robić z tak niesztampową osobką, wyznającą własne przekonania polityczne i dotkniętą niefortunnie leworęcznością? Co zrobić z córką, która padła ofiarą porwania i skandalu, niwecząc swoje szanse na bogate zamążpójście? Trzeba pominąć fazę wprowadzania jej w świat jako panny na wydaniu i pozbyć się kłopotu, znajdując prywatnie chętnego kandydata na męża, choćby i oplaconego.

Wygląda na to, że dwie smoczyce, z którymi ją widziałam, sprawowały nad lady Cecyli tymczasową pieczę. Moim zadaniem było ustalenie ich tożsamości i miejsca zamieszkania.

Pisałam dalej:

*Jej przyzwoitki, pełne pychy i elegancko ubrane, wywodzą się prawdopodobnie z wyższych sfer.*

*Wydawało się, że sprawują nad nią rodzinną kuratelę.*

*Ubierały ją we wpadające w zieleń żółcie; czyżby wyznawały zasady estetyzmu?*

*Cecily i jej eskorta odjechały dorożką o numerze \_\_\_\_\_.*

*Domyślam się, że wachlarz był pamiątką po jakiejś „różowej herbatce” – czyżby tej u wicehrabiny Inglethorpe?*

Niewiele mi to pomogło.

Ale chociaż nie zapamiętałam numeru dorożki, gratulowałam sobie, że nie wyleciało mi z pamięci nazwisko wicehrabiny.

Tak, to moja jedyna poszlaka.

A może któreś z plotkarskich pisemek zamieściło jakąś wzmiankę o „różowej herbatce” u wicehrabiny? Załóżmy, że lady Cecily była tam zaproszona w towarzystwie przyzwoitek... Gdybym natrafiła gdzieś na listę zaproszonych gości...

Jednak kiedy mój wzrok padł na stertę pełnych bredni pism, które musiałabym w jej poszukiwaniu przeczytać, jęknęłam głośno. Gdybym nawet na coś takiego natrafiła, musiałabym przyjąć jakąś metodę, by spośród licznych gości wyłonić dwa eskortujące lady Cecily potwo-ry. Albo jeszcze gorzej: gdybym prześlęczała nad tymi diabelnymi tekstami kilka godzin tylko po to, by stwierdzić brak jakiegokolwiek wzmianki o herbatce u wicehrabiny? Bądź co bądź tytuł wicehrabiowski stawiał ją w hierarchii ważności o wiele niżej niż jakąś księżnę czy choćby hrabinę. Może żaden kronikarz wydarzeń towarzyskich nie zadałby sobie trudu, żeby...

I nagle przyszedł mi do głowy pomysł tak niezwykle, że aż sama się sobie dziwiłam. Z wrażenia wstrzymałam na chwilę oddech, zbierając szybko myśli. A potem wypuściłam powietrze z triumfalnym uśmiechem.

Nie miałam dotąd do czynienia z osobą relacjonującą wydarzenia towarzyskie, jednak wyobrażałam ją sobie tak: prawdopodobnie jest to kobieta, wykształcona ponad stan, raczej zubożała panna z dobrego domu niż guwernantka; zmuszona do zarabiania na siebie do czasu znalezienia odpowiedniego męża. Ubiera się zwyczajnie, może nawet w nieco znoszone stroje, jednak zawsze w dobrym guście. Postać budząca zaufanie i podszytą wyższością litość.

W wielkim pośpiechu zaczęłam szukać swojego grzecznego kompleciku na każdą okazję, tego z brązowego tweedu. Nie jadłam obiadu, więc może jeszcze zdążę na czas.

Godzinę później, przyodziana we wzmiankowany komplecik, naciągnawszy na dłonie rękawiczki i osłoniwszy twarz spływającą z kapelusza burą woalką, uzbrojona w notes stenograficzny i kilka ołówków, zapukałam do drzwi miejskiej rezydencji wicehrabiego Inglethorpe'a.

Po dłuższej chwili otworzył mi przypominający przerośniętego ołowianego żołnierzyka kamerdyner, któremu oznajmiłam:

– Jestem reporterką „Women’s Gazette”. – Zdążyłam przejrzeć stare wydania tego tytułu, w których nie znalazłam ani słowa o Inglethorpe'ach, więc czułam, że stąпам po dość pewnym gruncie.

– Przysłano mnie z redakcji, bym opisała różową herbatkę, którą wyprawiła pani domu.

– Rychło w czas – burknął służący. – Minął już cały tydzień.

Kiedy mamy wątpliwości, lepiej milczeć. Odpowiedziałam potulnym uśmiechem.

Kamerdyner ściągnął brwi.

– Ma pani wizytówkę? – spytał.

– Zatrudniłam się niedawno – improwizowałam. – Wizytówki dopiero się drukują.

– Ładne kwiatki. Przysyłać nowicjuszkę i to z tygodniowym opóźnieniem.

Nie przejęłam się ani trochę jego pogardliwym tonem, ponieważ był to jawny dowód na słuszność moich domysłów: wicehrabina Inglethorpe marzyła, by czytać o sobie na łamach plotkarskiej prasy równie często jak o – dajmy na to – księżnej X, czuła się pod tym względem zaniedbywana, a wszyscy domownicy dzielali jej słuszne oburzenie.

Siłą woli powstrzymałam się od kolejnego triumfalnego uśmiechu, poczułam bowiem, że zraniona próżność nie odprawi mnie z kwitkiem.

I rzeczywiście, kiedy kamerdyner udał się na górę do apartamentów lady Inglethorpe, pojawiła się gospodyni, zaskakująco serdeczna osoba o nazwisku Dawson, by wskazać mi bawialnię, w której odbyła się rzeczona herbatka.



– Nie uprzątamy stąd niczego, oprócz kwiatów, rzecz jasna, do czasu, kiedy znów przyjdzie nam skorzystać z saloniku. Moja pani mocno się napracowała, żeby osiągnąć tak wspaniały efekt, i nie może się nim nacieszyć.

*Wspaniały efekt.* Na pewno nie użyłabym tego słowa, czułam się bowiem, jakbym nagle stanęła na samym środku krowiego wymienia. I choć do tej pory nie żywiłam uprzedzeń do różowej barwy, to teraz z miejsca ją zniechęciłam, otoczona różowymi firaneczkami z różowymi lambrekinami, różowymi obrusami, różowymi ścianami...

Na szczęście przypomniałam sobie, kogo udaję, i ukryłam przed rozmówczynią swój mimowolny niesmak, pochylając głowę nad notesem, by szybko zanotować następujące szczegóły: różowe girlandy z grubej wstążki na boazerii i obrazach, różowa siatka zwieszająca się z sufitu, różowe japońskie lampiony powieszane na różowych szydełkowych sznureczkach...

– Podaliśmy ciastka kokosowe z różowym i białym lukrem, rozstawiliśmy rzeźby z różowego lodu w kształcie amorków i łabędzi. Jaśnie pani wystąpiła w różowej sukni popołudniowej sprowadzonej aż z Francji, a my, czyli służące, miałyśmy na sobie specjalnie na tę okazję uszyte różowe czepeczki i fartuszki. Och, a wokół paliły się same różowe świece... Doprawdy istna kraina z różowej bajki!

Zacisnęłam zęby, bojąc się zdemaskować jakąś nazbyt szczerą uwagę. Gryzmoliłam dalej.

– Kwiaty? – wymamrotałam.

– Ojej, najpiękniejsze brzoskwińskie różyczki, jedynie panowie mieli w butonierkach białe kwiaty, bo różowy kolor nie przystoi mężczyźnie.

– W istocie – potaknęłam beznamiętnie.

– Ale ileż było przy tym śmiechu!

Wreszcie mogłam spytać o to, co dla mnie najistotniejsze.

– A wśród zaproszonych byli...?

– Jacobs poszedł zapytać jaśnie panią, czy zechce udostępnić odpis listy gości. Może pójdziemy sprawdzić, czy już wrócił?

– Bardzo proszę. – Obawiałam się, że w moim głosie było słycać gorączkowe pragnienie natychmiastowej ewakuacji; przebywanie w różowym pomieszczeniu przyprawiło mnie o straszne mdłości, czułam się, jakbym pochłonęła tonę landrynek. Odetchnęłam z ulgą, znalazłszy się z powrotem w nieco bardziej tradycyjnie urządzonej sieni domu.

Kiedy jednak mijałyśmy otwarte drzwi głównego salonu, zatrzymałam się nagle i wybałuszyłam oczy.

– Przepiękny, prawda? – zagadnęła gospodyni, zorientowawszy się, co mnie tak zafrapowało.

Na znajdującej się naprzeciwko wejścia ścianie, tuż nad kominkiem, wisiał ogromny, oprawiony w złotą ramę portret olejny, przedstawiający elegancką damę spoczywającą w pełnej wdzięku pozie na szezlongu z wysokim oparciem. Artysta przedstawił ją w całej okazałości: modelka przysiadła z białym perskim kotem na kolanach, nie martwiąc się o bezpieczeństwo swego stroju – najszykowniejszej sukni ze szkarłatnego adamaszku, jaką zdarzyło mi się kiedykolwiek oglądać. Tu wtrączę, że trzymanie kota w rezydencji pełnej kosztownej porcelany zawsze wydawało mi się niedorzeczne; jednak odnoszę wrażenie, że im więcej ktoś ma pieniędzy, tym bardziej czuje się zobowiązany do ulegania głupkowskim fanaberiom, choćby groziło to utratą bezcennego kryształu od Waterforda czy pokryciem aksamitnych siedzisk białymi włakami. Moje zdumienie nie było wszakże związane z tymi przemyśleniami ani z podziwem dla kunsztu artysty, który tak realistycznie odmalował piękną kreację damy.

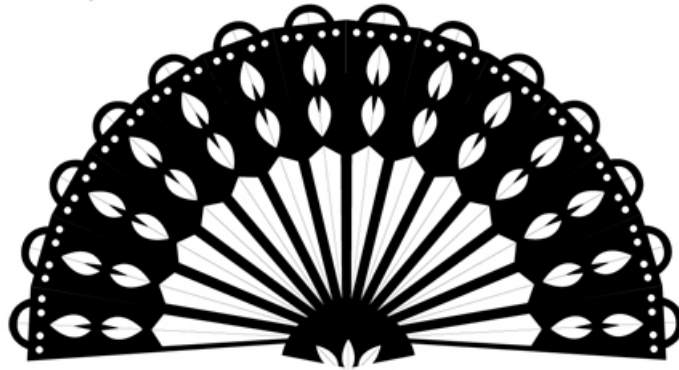
Moją uwagę przykuły rysy mięsistej twarzy modelki.

– To jest, oczywiście, moja pani – pospieszyła z wyjaśnieniem gospodyni.

Wicehrabina była więc jedną z matron, które widziałam w Umywalni dla Dam.

Nie zdążyłam sobie jeszcze do końca uświadomić niebezpieczeństwa, na jakie się naraziłam, kiedy za moimi plecami rozległ się głos kamerdynera:

– Lady Otelia Thoroughfinch, wicehrabina Inglethorpe, zaprasza panią na rozmowę do swojej prywatnej bawialni.



## ROZDZIAŁ SIÓDMY

Och.

Wicehrabina we własnej osobie.

Ojej. Poczułam niemal nieprzewyciężoną chęć ucieczki, jakbym się obawiała, że... przecież to zupełnie niemożliwe... ale jeśli jakimś trafem mnie rozpozna? Jeśli odkryje, że nie przysłała mnie tu żadna z redakcji, tylko sama z własnej woli wściubiam swój wydatny nos w cudze sprawy? Jeśli podejrzewa, że weszłam w posiadanie osobliwego różowego wachlarza?

Wszystkie te pytania wylęły się w mojej głowie, zanim jeszcze zawróciłam, by udać się z kamerdynerem na górę. W takich razach błogosławię los, który uczynił mnie córką logika. Wykształciłam się sama, czytając zgromadzone przez niego książki. I pomyślałam tak:

*Przesłanka: wicehrabina Inglethorpe i ja siedziałyśmy w tym samym czasie w saloniku Umywalni dla Dam.*

*Konkluzja: rozpozna mnie.*

*Ocena konkluzji: nieprzekonująca.*

*Słaba przesłanka: zauważyła mnie i mnie rozpozna.*

*Konkluzja: zrozumie, że nie jestem reporterką „Women’s Gazette”.*

*Ocena konkluzji: brak podstaw, ponieważ nawet reporterki korzystają z tego typu udogodnień.*

A jednak gdy te kojące, racjonalne myśli wzięły górę – kiedy znalazłam się na szczycie schodów – otworzyły się z impetem masywne drzwi wejściowe i jakiś męski głos ryknął:

– Aha!

Podskoczyłam i pisnęłam jak królik we wnykach. Rozpoznałam ten głos... należał do pewnego nader niegościnnego dżentelmena, właściciela mastiffa i ukrytego ogrodu.

*Ależ to niemożliwe!* – próbowała mi perswadować jakaś logicznie rozumująca część mojego mózgu. – *Z jakiego powodu...?*

– Ha, ha! Jesteśmy!

Kamerdyner, mimo że zachował właściwą wszystkim kamerdynerom świata kamienną twarz, wydawał się nie mniej zaskoczony niż ja.

– Przepraszam na chwilę – powiedział i zszedł z powrotem na parter, by sprawdzić, o co chodzi. A ja przystanąłam przy balustradzie, zerkając w dół.

– Gęsiego! Ha, ha! Paście oczy do woli, obdartuski!

A jednak urodziłam się pod złą gwiazdą. Zobaczyłam, że to z całą pewnością ten sam krępy jegomość, który groził, że zostawi mnie na pewną śmierć w swojej fosie. Wtoczył się do sieni wejściowej z szykiem, w fontaziu na szyi, w eleganckim paltocie, antracytowych bryczesach i kremowych getrach, wykrzywiając z wysiłkiem ponurą twarz w grymasie, który miał zapewne imitować uśmiech. Za nim pojawiła się w sieni zupełnie niezwykła gromadka: idące para za parą sieroty, dziewczynki przyodziane w koszarne fartuchy z bawełny w tabaczkową kratkę, z włosami przyciętymi tak krótko (dla zapobiegania wszawicy), że mimo czepeczków z falbankami nie przypominały wcale istot płci żeńskiej.

Kamerdyner podszedł do człowieka „Haha” i skłonił pokornie głowę, mruczając coś pod nosem.

– Zafundowałem małym żebraczkom wycieczkę, ha, ha! – ryknął zagadnięty. – Ukryta za poręczą patrzyłam zafascynowana, jak jego łysiejąca głowa nabiera pomidorowej barwy. – To coś złego? – Domyśliłam się, że kamerdyner spytał go uniżenie o przyczynę tak dziwacznej wizyty.

– Oglądamy, ale nie dotykamy – zaordynował suchy głos kobiety w średnim wieku, zamykającej kraciasty dwuszereg, w której od razu rozpoznałam nadzorczynię sierocińca. I to nie za sprawą prostej brązowej sukni i surowości obejścia. Zdradzało ją przedziwne i niedające się pomylić z żadnym innym nakrycie głowy: sztywno nakrochmalony czepiec uformowany w kształt odwróconego tulipana i obszuty na krawędzi falbanką. Kiedy tylko nadarzy się sposobność, muszę sportretować tę kobietę w postaci brązowej wieży zwieńczonej pękatą białą latarnią.

– Czy mam powiadomić wicehrabinę? – spytał kamerdyner.

Hmm... to aby na pewno pytanie? Zabrzmiało jak groźba.

– Nie ma potrzeby! Pokazuję tym aniołkom, czego mogą się spodziewać, ha, ha! Jeśli przyjmą służbę w *moim* domu, rozumiesz? Ha, ha! – Po tak bezczelnym oświadczeniu – bo widać było po zachowaniu kamerdynera, że nie był to *jego* dom – uśmiechający się krzywo ryczący olbrzym o wyglądzie mastiffa wrzasnął: – Tędy, urwisy! – I ruszył naprzód.

Stłoczone lekliwie dziewczynki trzymające się wzajemnie za rączki, ruszyły z ociąganiem za swoim władczym przywódcą. Czułam, że udziela mi się ich przerażenie. Zamykająca pochód nadzorczyni zaczęła je popędzać i wkrótce cała grupa zniknęła mi z oczu pod schodami. Chociaż dobrze wiedziałam, że człowiek „Haha” ani mnie nie widział, ani w żaden sposób nie mógłby mnie rozpoznać, moje serce waliło jak oszalałe. Wiem, że prawdziwa dama nigdy się nie poci, nawet w najmniejszym stopniu, ale mimo to czułam zraszające moje skronie drobne kropelki.

Kamerdyner znów pojawił się na górze, z twarzą tak nieprzeniknioną, że nie ośmieliłam się go spytać, kim jest Haha. Zresztą i tak odebrało mi z wrażenia mowę.

Oderwałam się z wielkim trudem od poręczy, której kurczowo się uchwyciłam. W lodowatej ciszy kamerdyner wskazał mi drzwi.

– Panna... hm... Osoba związana z branżą żurnalistyczną, o której jaśnie pani mówiłem – zaanonsował mnie, wszedłszy do środka. Wszystko wskazywało na to, że pragnie, by jego pani pozostała w nieświadomości inwazji, która nastąpiła na parterze, przynajmniej na czas mojej nieproszonej obecności.

– A tak. W istocie. – Wicehrabina zaprosiła mnie energicznym gestem do środka, nie przyglądając mi się zbyt. Chwała Bogu. Po chwili udało mi się zaczerpnąć powietrza i odzyskać część utraconego spokoju. Jaśnie pani, rzecz jasna, nie poprosiła mnie, bym usiadła; przecież pospolita reporterka długo nie zabawi. Nie dała mi także szans na zadanie jakichkolwiek pytań, bo z miejsca przejęła inicjatywę.

– Chcę pani pokazać, w czym wystąpiłam na różowej herbatce. – Jak na zawołanie, z garderoby wyszła pokojówka niosąca różowy fatałaszek. – To suknia od Wortha – oświadczyła wicehrabina i zaczęła czytać na głos stronę z żurnala. – „Ta wyjątkowa domowa suknia popołudniowa à la Pompadour z różowej tafty, z pełnymi wdzięku klinami, udrapowanymi na...” Pisze pani! Chcę, żeby zrelacjonowała pani w artykule wszystko, o czym teraz mówię.

Posłusznie zaczęłam notować, zauważywszy, że domową suknię, którą ma na sobie, uszytą z adamaszku nefrytowej barwy, można by opisać w równie wymyślnych słowach. Była szykowna do tego stopnia, że nie zawahałabym się wystąpić w czymś takim nawet na królewskim dworze. Kolejny dowód na to, że pani domu mierzy o wiele wyżej, niż pozwala jej na to pozycja.

– „...z dekoltem obszytym obłóczkami białego tiulu udrapowanymi na poduszczykach z haftowanej perłkami satyny. Długi, podwójny sznur rzadkich różowych pereł przypięty jest do boku szaty kłamrą z różowego złota, ukutą na podobieństwo brosz noszonych przez Sybille z Kaplicy Sykstyńskiej”. Zapisła panna?

– Tak, pani – skłamałam. – A czy wolno mi spytać, kto miał szczęście znaleźć się wśród wyróżnionych zaproszeniem gości? – Zidentyfikowawszy już wicehrabinę, chciałam ustalić tożsamość drugiej ze smoczyc towarzyszących biednej lady Cecily. Miałam nadzieję, że znajdę ją na liście

zaproszonych.

– A tak, mam tu spis wszystkich gości. Oczywiście zaszczyciła nas hrabina Woodcock. – Powiedziała to tak obojętnym tonem, że od razu się domyśliłam, iż obecność hrabiny była ze wszech miar pożądana. – Lady Dinah Woodcock. Niestety, hrabia Thaddeus nie mógł się pojawić. Były także trzy córki earla Throstlebine’a, jaśnie panienki Emengarde, Ermentrude i Ermenine Crowe, którym towarzyszyły...

Wyliczanie ciągnęło się bez końca i zaczęłam tracić nadzieję na ustalenie prawdy.

– ...oraz baronowa Merganser. Lady Aquilla Merganser. Czyli moja rodzona siostra.

– Doprawdy? – spytałam z nieudawanym zaciekawieniem. Czy siostra przypadkiem nie wyglądała wypisz wymaluj jak ona? Czy lady Aquilla Merganser była...?

– W rzeczy samej. Aquilla popełniła, niestety, megalians. – Bzdura wyssana z palca, baron nie jest istotą ani niższą, ani wyższą od wicehrabiego. – Jej mąż był nieobecny, towarzyszył jej jednak jej syn, Bramwell, i jego narzeczona, panna Cecily Alistair.

Tak! Och, tak! Jedna z ogrzyc to wicehrabina, druga to z całą pewnością jej siostra Aquilla, matka niejakiego Bramwella, który ma zamiar poślubić nieszczęsną lady Cecily. Nie potrafiąc ukryć rosnącej ekscytacji, smarowałam ołówkiem po papierze i gadałam bez ładu i składu:

– To zapewne bardzo atrakcyjna młoda osóbką.

– Byłaby taka, gdyby się choć trochę postarała. To jeszcze wciąż rozpieszczone dziecko, niestety.

– Ale nagle, jakby moje zainteresowanie lady Cecily kazało jej zamknąć temat, lady Otelia odwróciła się do mnie plecami – nie omieszkałam stwierdzić, że od razu dostrzegłam opłakane skutki jazdy w damskim siodle. Prawa łopatka górowała nad lewą. Zrobiłam wszystko, żeby się nie uśmiechnąć.

Wicehrabina wykonała zbywający mnie gest dłonią.

– To wszystko – rzuciła.

– Oczywiście, proszę pani. – Trzeba robić dobrą minę do złej gry. Udało mi się dokonać złożonej ewolucji, która trochę przypominała ukłon. – Dziękuję łaskawej pani.

Kamerdyner czekał już, by mnie odprowadzić do wyjścia. Wyprostowany i sztywny jak prawdziwy wojak. Byłam ciekawa, czy grupka sierot opuściła już rezydencję. Nie odważyłam się jednak o to spytać, ponieważ zamierzałam zwrócić się do niego z inną, ostatnią prośbą. Kiedy znaleźliśmy się bezpiecznie na parterze, spytałam, czy mogłabym zamienić ponownie kilka słów z gospodynią, panią Dawson.

– To mi zajmie jedną chwilkę, chciałam jej tylko podziękować – zaświergotałam przymilnie.

Kamerdyner z wyniosłą obojętnością przystał na moją prośbę. Kilka chwil później poczciwa Dawson zasiadła ze mną w służbówce. Z wielkim entuzjazmem przejrzała listę gości, przekazując mi o wiele więcej szczegółów niż jej pani.

Oszczędzę łaskawemu czytelnikowi porcji plotek, których z konieczności wysłuchałam, zanim przeszłam do konkretów. Celowo pozwoliłam sobie na kilka minut „poufnych zwierzeń”, zanim uznałam, że mogę bez obaw okazać zainteresowanie wicehrabiną i jej siostrą, lady Aquillą.

– A tak – sapnęła poczciwa Dawson. – Jedna wdała się w drugą, jak dwie krople wody.

*Eureka!* – pomyślałam. Czyli jest tak, jak podejrzewałam: widziałam lady Cecily w towarzystwie wicehrabiny Otelii i baronowej Aquilli.

Moja biedna leworęczna lady! Omal nie zatrzęślam się w jej imieniu ze zgrozy: skoro Bramwell Merganser, przyszły pan młody, to syn Aquilli, to jeśli nie pokrzyżują spiskowcom szyków, ten „przeuroczy” babsztyl zostanie teściową nieszczęsnej Cecily.

Chociaż gorąco pragnęłam poznać szczegóły planowanego małżeństwa, musiałam zachować ostrożność, by nie wzbudzić w Dawson podejrzeń; nawet najbardziej gadatliwe służące są zazwyczaj lojalne wobec chlebodawczyni. Oparłam się wygodnie i zapytałam od niechcienia:

– Czy mają dużo dzieci? – Było to całkiem naturalne rozwinięcie tematu obu sióstr. Posiadanie liczego potomstwa, będące przekleństwem klas niższych, w wyższych sferach było postrzegane jako pożądana cnota. Za wzór mogła tu służyć sama królowa Wiktoria, która dochowała się dziew.

– Niestety, jaśnie pani wicehrabina nie ma już żyjących potomków – powiedziała współczującym

tonem Dawson. Jednak stwierdziła to nie bez cienia satysfakcji: wysoka śmiertelność nieletnich, związana najczęściej z chorobami zakaźnymi, nie była domeną biedoty. – A z pięciorga dzieci baronowej jedynie panicz Bramwell dożył pełnoletności. Niestety, wychowała go na maminsynka – dodała w zamyśleniu, dolewając nam obu herbaty.

Mam nadzieję, że dla postronnego obserwatora byłam ucieleśnieniem obojętnego spokoju, chociaż dusza rwała się we mnie, dysząc jak pies, który zwąchał świeży trop.

– Doprawdy? A ile ma lat? – spytałam.

– Prawie trzydzieści i wciąż mieszka z rodzicami, próżniacząc się po całych dniach. I pewnie zostanie mu to do końca życia, ponieważ niebawem zadba o niego żoneczka.

– Ach, rozumiem! – Doprawdy, moja ciekawość była taka naturalna i niewinna. – A kim jest lady Cecyli Alistair?

– To jego kuzynka. Jej ojciec, Eustace Alistair, jest bratem lady Aquilli. I, rzecz jasna, lady Otelii.

Oj. Okropność. Ale takie małżeństwa nikogo nie gorszyły, ponieważ związki między dwojgiem kuzynostwa były wśród arystokracji na porządku dziennym. Pozwalało to na nierozdrabnianie rodowych majątków między obcymi. Niezamierzonym efektem ubocznym był fakt, stwierdzony przez Malthusa, że każde nowe pokolenie było brzydsze od poprzedniego.

Wydanie córki za syna własnej siostry... Sir Eustace z pewnością byłby do czegoś takiego zdolny. Przypomniało mi się, że kiedy Cecyli została uprowadzona, bardziej zależało mu na wyciszeniu skandalu niż na bezpieczeństwie własnego dziecka. I jestem pewna, że nie widział w niej ofiary złoczyńcy, tylko przyczynę rodowej hańby. Miał za nic jej uczucia. Pragnąc uniknąć dalszych powodów do wstydu, uznał, że lepiej będzie wydać ją pokątnie za mąż, niż ryzykować przedstawienie jej na królewskim dworze. Ciekawe, jaki posąg obiecał Merganserom.

Dawson czekała na moją reakcję.

– Hmm, to świetna partia – zaryzykowałam.

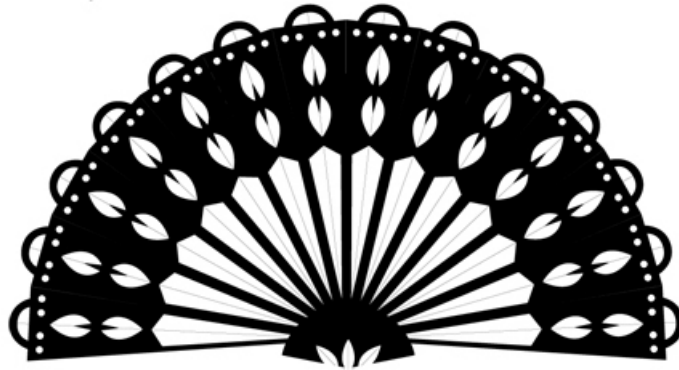
– A tak, naprawdę świetna.

Wciąż ociągałam się z zadaniem dręczącego mnie pytania, choć zżerała mnie ciekawość – kim jest tajemniczy pan Haha. Sądząc po ubiorze, to człowiek z wyższych sfer, być może nawet utytułowany. Czy coś go łączy z mieszkańcami tego domostwa? W końcu nie wytrzymałam i spytałam:

– Czy to właśnie sir Eustace był tak miły i przyprowadził tu sierotki...?

Okazało się jednak, że gotowość do zwierzeń ma granice. Dawson odpowiedziała mi z leciutką irytacją:

– Nie, to nie był sir Eustace, a jeśli chodzi o sprowadzanie tu... tych dzieci z *nizin*... bez uprzedzenia... Ale dość już się nagadałam. Zechce mi pani wybaczyć.



## ROZDZIAŁ ÓSMY

Wróciłam do biura „doktora Ragostina” w lekko rozbałaganionym stanie ducha. Biedna Cecyli, biedna inteligentna, utalentowana, kochająca swobodę dziewczyna! Wiedziałam, co czuje, kiedy cały świat sprzysiął się, by złamać w niej ducha. Znałam to uczucie. Sama byłam przez chwilę młodą kobietą zdaną na łaskę i niełaskę krewnych i prawnych opiekunów, przymuszana do posłuszeństwa. Uratowała mnie przezorność mojej matki.

Ale jak sama mam teraz ratować lady Cecily?

Zapaliwszy lampy gazowe, podbiegłam do biblioteczki i sięgnęłam po *Boylesa*, niezastąpiony przewodnik po koligacjach arystokratów. Nie zjadłam tego dnia obiadu, więc uczucie głodu wzmagало we mnie irytację i upór. Do tego stopnia, że darowałam sobie także kolację; zamiast tego rzuciłam się na leksykon, by wyszukać nazwiska „Inglethorpe” i „Merganser”. Następnie sprawdziłam inne hasła, a wreszcie udało mi się uzyskać pełne rozeznanie w sytuacji.

Ojciec Eustace’a, Aquilli i Otelii, sir Dorian Alistair, był, jak się okazało, zaledwie baronetem. Nie mógł się tytułować lordem, nie należał do parostwa. Co więcej, nie dysponował środkami pozwalającymi mu na realizację wybujałych aspiracji. Niemniej dokonał z żoną cudów, żeby wprowadzić obie córki w wielki świat. Dziewczyny zaś były urodziwe i pełne wdzięku (choć trudno to sobie dzisiaj wyobrazić), więc zarówno Otelia, jak i Aquilla znalazły lepiej sytuowanych od siebie mężów. Eustace natomiast wzenił się w rodzinę lady Theodory.

Tyle dowiedziałam się z *Boylesa*, resztę podpowiedziało mi doświadczenie: poznawszy osobiście lady Theodorę, doszłam do wniosku, iż należy dziękować Niebu za to, że dzieci Eustace’a wdały się w matkę, nie w ojca.

Wiedziałam, że lady Cecily nie akceptowała poglądów swego ojca na dobroczynność (nikogo nie wspierał), na społeczeństwo (nieustannie pięć się w górę) i miejsce kobiety (posłuszeństwo).

Ciekawe, do jakiego stopnia kuzyn, którego miała poślubić wbrew swojej woli, był podobny do jej ojca.

Jakież to niesprawiedliwe, że tak niewinnej, inteligentnej i dobrej dziewczynie – Cecily oddałyby zebracze własne buty – że tak wspaniałej młodej kobiecie trafił się tak okrutny ojciec, że padła potem ofiarą podstępnego łajdaka, a teraz ktoś trzyma ją w zamknięciu o głodzie... Tylko gdzie?

*Boyles* podał mi londyński adres barona Mergansera i wydało mi się, że najrozsądniej będzie tam właśnie rozpocząć poszukiwania. I to natychmiast.

Nie da się wечно zmieniać ubrań, zwłaszcza kiedy człowiek ma zamiar przyjrzeć się rezydencji Merganserów jeszcze przed zmierzchem. Uznałam, że kostium z brązowego tweedu nada się do tego celu jak znalazł. Był wystarczająco ciemny, podobnie jak szare pończochy i brązowe buciki. Jedyne, co mogło mnie zdradzić w półmroku, to biały kołnierzyk, który jednak można w razie konieczności odpiąć. Nie tracąc czasu, wrzuciłam do torby podróźnej kilka potencjalnie przydatnych przedmiotów.

Zamachałam nią, żeby przywołać czterokołową dorożkę.

– Do skrzyżowania z Oakley Street – rzuciłam woźnicy – a potem proszę jechać powoli.

Westchnęłam, usłyszawszy, ile sobie życzy za kurs, jednak pocieszyłam się, że z zamkniętego



pojazdu można obserwować innych, pozostając dla nich niewidzialną.

I bardzo dobrze, ponieważ na widok domu szczęka mi opadła aż na koronkę kołnierzyka.

Czyżbym pomyliła adres? Nie. Numer na słupku parkanu z kutego żelaza nie pozostawiał żadnych wątpliwości. Za ogrodzeniem stał porośnięty bluszczem dom otoczony czerwolistnymi bukami, których rozłożyste korony i rdzawe liście ocieniały znajdujący się pod nimi trawnik. Tak, *tam* też rosły buki... Ale może coś niedokładnie zapamiętałam? Miałam taką nadzieję. Przejechawszy kilka przecznic, dałam dorożkarzowi znak, by stanął. Poprosiłam go, żeby zawrócił i powoli przejechał tą samą drogą.

Chciałam się przyjrzeć jeszcze raz.

I ku mojej rozpaczy potwierdził się fakt, którego wolałabym nie uznawać: londyńskie lokum barona Mergansera, wyjątkowo szpetny gmach w stylu „strzelistego gotyku” z szarego kamienia, najeżony spiczastymi wieżyczkami i zwisającymi gargulcami, to nic innego jak dom, przy którym przeżyłam potrójne zaskoczenie, za sprawą wielkiego i nieprzyjemnego właściciela, jego krwiożerczego mastiffa oraz – niespotykanego w mieście – ukrytego ogrodzenia z fosą.

I już się domyślałam, kim jest mężczyzna Haha. Widziałam go wcześniej tego dnia, wystrojonego elegancko i wprowadzającego grupkę sierot – okoliczność, która wcale nie zmniejszyła lęku, który we mnie budził – do rezydencji, której wybór nie mógł być dziełem przypadku.

Zastanawiałam się nad zaistniałą sytuacją, walcząc ze zmęczeniem i nieodpartym pragnieniem udania się do domu, by wypocząć.

Jednak przemogłam się i kazałam się zawieźć w pobliże Covent Garden. Wsiadłam na jednym z rogów i odprawiłam dorożkarza. Zakupiwszy na ulicznym straganie biszkopty i lemoniadę, przymusiłam się do jedzenia i picia, zastanawiając się, co mogę robić dalej.

Po krótkiej przechadzce wypatrzyłam stragan z mięsem, gdzie nabyłam dużą kość rosółową, pełną smakowitych skrawków mięsa i chrząstek.

To, pomyślałam, upychając zdobycz (owiniętą szczelnie w brązowy papier) w coraz bardziej pękatej torbie, powinno zająć mastiffa na czas potrzebny mi do sforsowania parkanu.

A jeśli chodzi o sforsowanie aha... Człowiek uczy się na błędach. Kilka tygodni wcześniej, wspinając się po murach wyjątkowo niedostępnej kamienicy, omal pięć razy nie spadłam, zanim zdołałam dostać się na dach, który okazał się równie zdradliwy i doprowadził mnie do upadku w szklany... ale dość tych dygresji. Chodzi o to, że wyszedłszy z tamtej opresji z paroma zaledwie zadrapaniami, nabyłam spory zwój solidnej liny i obiecałam sobie, że już nigdy nie podejmę ryzykownych przepraw, nie mając jej przy sobie. Zwinięta równo spoczywała na dnie torby pod kością na zupę.

Mając ze sobą linę, z pewnością znajdę sposób, by się przepawić na drugą stronę fosy.

A potem – układałam w głowie plan, zmierzając w stronę najbliższej stacji metra, a następnie czekając na skład, który miał mnie unieść z powrotem ku budzącej grozę rezydencji – potem wystarczy już tylko dostać się do domu, nie zdradzić swojej obecności, odszukać lady Cecily, uwolnić ją z zamknięcia i wyprowadzić na wolność.

Niech mi Niebo dopomoże.

Nieco później, kiedy wydawało się, że już wszyscy śpią, ponieważ w oknach pogasły światła, a na ulicy zapanowała cisza, przerywana jedynie monotonnym stukotem obcasów konstabla, przemknęłam bezszelestnie w stronę kutego parkanu, tym razem od strony powozowni. Odwinęłam kość i cisnęłam ją przez pręty ogrodzenia na podwórze Merganserów. Ucieszyłam się, widząc, że wylądowała tam, gdzie chciałam, czyli tuż przed budą psa. Spodziewałam się, że mastiff wybiegnie i parę razy zaszczeka, zanim odkryje podarunek.

A jednak pies się nie odezwał. Ba! – w ogóle się nie ujawnił. Jak poprzednio, otoczenie domu było rzeświście oświetlone gazowymi płomieniami – co za lekkomyślne marnotrawstwo! Odczekałam kilka chwil, pewna, że pies jednak wychynie z cienia. Ale się nie pokazał.

Hmm.

Czyżby aż tak twardo zasnął w swoim legowisku?

Wolałam nie liczyć na tak wielki łut szczęścia, jednak nie miałam wyjścia: trzeba było realizować zamierzony plan. Po cichutku przekradłam się do narożnika ogrodzenia za powozownią, gdzie panował najgłębszy mrok. Tam, powiesiwszy torbę na pasku i zawiązawszy spódnicę na supeł nad kolanami, zaczęłam się wspinać.

Żaden chłopiec stajenny nie narobił rabanu, kiedy opuściłam się na dół po drugiej stronie. Żaden pies nie zaszczekał. Nikt nie podniósł alarmu.

Ale panująca cisza nie nastroiła mnie optymistycznie – wręcz przeciwnie. Nie wierzyłam, że los mi sprzyja. Czułam, że być może wchodzę w zasadzkę.

Mimo to nie mogłam się już cofnąć.

I musiałam wymyślić sposób na pokonanie ukrytej fosy.

Zanim wyszłam z cienia, przywarłam do ziemi. Pamiętałam ze spędzonego na wsi dzieciństwa, że tak postępują kłusownicy, zapuszczając się w celach rabunkowych na cudze pola. Podpełzłam do krawędzi rowu, nad słuchując, czy nie pojawi się żaden niepokojący odgłos. Byłam tak napięta, że jeżyła mi się skóra na rękach i na głowie.

Z oddali dobiegał turkot kół, stukot kopyt o bruk i równie odległy skrzyp drzwi jakiegoś wychodka, nad głową szumiały poruszane lekkim wiatrem liście buków. Nic ponad to.

Aż nagle gdzieś bardzo niedaleko mnie odezwał się głos, który zmroził mi krew w żyłach.

– Diabli nadali całą tę cholerną sprawę – powiedział ktoś stłumionym szeptem.

Mężczyzna.

– Stanę się pośmiewiskiem – szeptał gorączkowo, jak ktoś, kto odzywa się tylko po to, by dać upust oburzeniu. – Jak mogłem nie zauważyć tak dziecinnie prostej przeszkody?

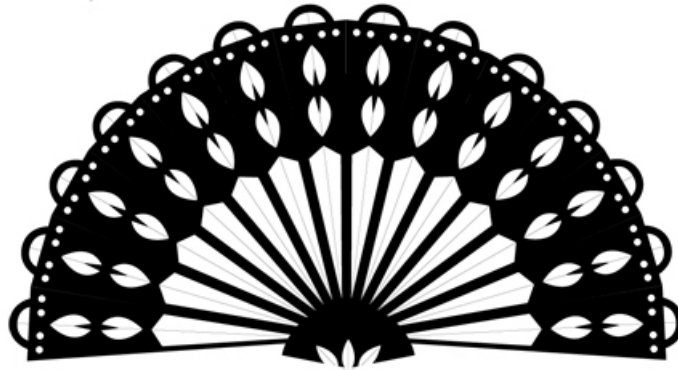
Zorientowałam się, że mężczyzna siedzi na dnie rowu aha.

I że skądś znam jego głos.

Rozpoznałam go podświadomie, ponieważ umysł wciąż mi szwankował po doznanym przed chwilą wstrząsie. Jednak ciało pozbyło się już całkowicie strachu. Ba! – co więcej, parło naprzód, by zajrzeć do rowu.

Dziesięć stóp poniżej, w ciemnej otchłani sarkający pod nosem nocny marek potarł zapałkę o draskę, by ocenić swoje położenie. Zobaczyłam go wyraźnie. Był ubrany na czarno, miał na głowie czarną czapkę, a twarz pokrywała mu warstwa sadzy. Ale i tak go rozpoznałam.

Mój brat Sherlock.



## ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Emocje sięgnęły zenitu i jak tabun dzikich koni tratowały mój biedny umysł, pozbawiając go zdolności rozumowania. Jednak przyznam od razu, że jedno z uczuć wysforowało się triumfalnie na czoło – czysta radość.

Oto jak upadają wielcy.

Płomień wędrował w dół patyczka i po chwili Sherlock syknął z bólu. Odrzucił zapałkę i mruknął coś, czego nie da się tu zacytować. A ja odezwałam się do niego wśród zapadłych ponownie ciemności:

– Wstyd.

Mimo braku światła widziałam, że aż podskoczył z zaskoczenia.

– Kto tam jest? – spytał, a jego głos przybrał niespodziewanie na sile.

– Cicho! – wyszeptałam. Cała radość nagle przysła, ustępując miejsca przerażeniu. – Obudzisz mastiffa.

– Kto to? – Ściszył głos, choć nadał mu ostrzejszy ton. – Bridget?

– Czy doprawdy mam irlandzki akcent? – Mój mózg zaczął znów pracować na najwyższych obrotach, odzyskując utraconą chwilowo sprawność. – Co zrobiłeś z mastiffem?

– Nakarmiłem siekaną wołowiną z bromem. – W dole rozbłysło kolejne światełko i Sherlock uniósł zapałkę w górę, usiłując mnie wypatrzeć. Jednak nie podniósł się z ziemi. Zobaczyłam, że zdjął prawy but i wyciągnął przed siebie nogę. Dostrzegłam pod skarpetką obrzęk. Zwichnięcie albo złamanie.

Natychmiast ogarnęło mnie poczucie troski i zapomniałam o wszystkim innym.

– Jesteś ranny!

Niemal jednocześnie brat wydał z siebie cichy skowyt:

– *Enola?* – Najwyraźniej mnie rozpoznał, ale raczej po charakterystycznym głosie niż po ukrytych w mroku rysach twarzy.

– Siedź cicho, wydostanę cię stamtąd. – Zabrałam się już do oswobodzenia torby z zapiętego w talii paska, jednak zmieniłam zdanie i sięgnęłam najpierw za gors.

Sherlock uderzył we władcze tony.

– Enolu, na miłość boską... wszędzie się na ciebie natykam. Co...?

– To samo mogłabym powiedzieć o tobie i o Mycroftcie: wiecznie usiłujecie pokrzyżować mi szyki. Łap! – Zrzuciłam mu pokaźny kawałek bandaża. – Owiń stopę. Czeka! – Na bandażu wylądowała dodatkowo buteleczka z brandy. – Wypij trochę, będzie mniej bolało. A potem obandażuj nogę najściślej, jak się da. Masz tu nożyczki...

– Dziękuję, mam scyzoryk, poradzę sobie. Niczego więcej mi nie trzeba, wierz mi. – Kolejny ogieniek zgasł i nie widziałam jego twarzy, wyczułam jednak w jego drżącym nagle głosie powstrzymywany śmiech i – daję słowo – coś w rodzaju serdeczności. – Chyba że masz w kieszeni drabinkę.

– A żebyś wiedział. Mam.

Na dnie torby spoczywała lina, która miała mi posłużyć do wyratowania... Wielkie nieba, komu najpierw pospieszyć z pomocą? Bratu czy nieszczęsnej Cecyli? Marzyłam o tym, by towarzyszyć

Sherlockowi, ponieważ czułam, choć prawie w ogóle go nie znałam, że potrafiłabym mu zaufać (czego nie mogłabym powiedzieć o Mycroftcie). Chciałam mu wyjaśnić powody mojej ucieczki – nie mogłam dać się zasznurować w ciasny gorset, rozumiany i dosłownie, i w przenośni, nie mogłam się podporządkować konwenansom pozbawiającym swobody przedstawicielki mojej płci. Pragnęłam zapewnić brata, że bardzo go cenię, a przede wszystkim wypytać, czy nie natrafił na jakąś ukrytą dla mnie przez mamę wiadomość podczas przeszukiwania jej apartamentów w Ferndell Hall. Może już nigdy nie nadarzy mi się możliwość porozmawiania z Sherlockiem bez obawy, że spróbuje mnie schwytać. A jednak – frustracja doprowadziła mnie niemalże do łez – nie było na to czasu! Nie mogę zostawić lady Cecyli w tak okropnym położeniu.

– Czy pracujesz na zlecenie lady Theodory? – zapytałam, odsunawszy na boczny tor sprawy osobiste.

– A skąd, do krośset, wiesz o tej sprawie? – zachnął się brat.

Jego spontaniczna reakcja potwierdziła moje nadzieje: lady Theodora była przeciwna planowanemu zamążpójściu córki.

– Wiedziałam! – zawołałam. – Wiedziałam, że kochająca matka nigdy nie pozwoli... – I nagle dopadła mnie przerażająca myśl: – W jaki sposób się z tobą skontaktowała?

– Zdaje się, że wiesz wszystko, co trzeba – warknął Sherlock z głębi aha, zaciskając zęby i sycząc, bo owijał już bandażem obolałą stopę. – A jak myślisz?

– Myślę, że sir Eustace zabronił jej wychodzić z rezydencji. Więc jakim cudem...?

– Wyciągnij wnioski.

– Wniosek jest taki, że sir Eustace rozdzielił matkę z córką, zamykając tę ostatnią pod kluczem w tym właśnie domu. Sądząc po twojej obecności...

– I twojej.

– Czy doszło do jakichś ustaleń? Czy lady Cecyli spodziewa się tej nocy twoich odwiedzin?

– A twoich się spodziewa? – odparował zgryźliwie.

Zacisnęłam gniewnie wargi, prychając z rozdrażnienia.

– Mów, czy coś zostało ustalone?!

Nagle zapadła cisza.

– Nie – przyznał po chwili. – Nie udało mi się nawiązać z nią kontaktu. Enolu...

– Ale jesteś pewien, że przebywa pod tym adresem?

– To żadna tajemnica. Codziennie zabierają ją stąd landem na przejażdżkę.

– Dziwne – mruknęłam.

– Właśnie. To dziwne, że ryzykują jej ucieczkę w imię dbania o pozory. Ale może wymyślili jakiś sposób na unieruchomienie jej w powozie.

– Możliwe, ale dlaczego nie woła o ratunek?

Sherlock miał na to gotową odpowiedź:

– Na miłość boską, Enolu, nieszczęsna dziewczyna to córka baroneta, nie póldiablę twojego pokroju.

*Póldiablę?* To jest jego określenie niezależnej kobiety o własnych poglądach? Skoro uznał Cecyli za potulną niewolnicę etykiety, to najwyraźniej nie zna jej tak dobrze jak ja.

– Mój drogi bracie, puszcze twoje obelgi i niewiedzę mimo uszu – poinformowałam go przymilnym tonem. – Ponieważ przybyłeś tu w celu uwolnienia lady Cecyli, proponuję, byśmy połączyli siły. Oczywiście, jeśli dasz mi słowo honoru, że nie podejmiesz najmniejszej próby pozbawienia mnie wolności.

– Połączyli...? Czy coś ci padło na ten małeńki mózdzek?

– A czy to ja leżę na dnies rowu z przetrąconą nogą? – odwarknęłam, dotknięta do żywego.

Obawiam się, że rozsierdziłam go tą uszczypliwością.

– Mniejsza o mój wypadek, nie powinnaś tu być. Wracaj, dziecko, do domu, tam gdzie twoje miejsce.

Uwaga niegodna dżentelmena, niezasługująca na odpowiedź. W milczeniu sięgnęłam do zamka

swojej torby.

– A skoro już o tym mowa, czy ty w ogóle masz dom? – ciągnął podniesionym głosem. – Gdzie przez tyle czasu mieszkałaś i z czego się utrzymujesz?

Nie zaszczyciwszy go odpowiedzią, wyciągnęłam linę, robiąc jednocześnie w myślach remanent zawartości torby: żelazka do kręcenia loków, które można wbić w ziemię, gdyby zaszła potrzeba przywiązania do czegoś liny, żeliwny tłuczek do mięsa mogący posłużyć do obrony, młotek do krokietu z przyciętą rączką i parę innych użytecznych narzędzi. Dla pewności uniosłam torbę: tak, ma słuszną wagę.

– Czy jesteś pod opieką jakiejś godnej szacunku i odpowiedzialnej osoby dorosłej?

Zamknawszy torbę, przywiązałam jeden koniec liny do jej rączek. Rozciągnęłam część liny na ziemi, zapewniając sobie niezbędny zapas, a następnie wepchałam jej zwiniętą końcówkę za pasek, na tyle głęboko, by nie wypadła, ale też na tyle płytko, żeby w każdej chwili można było ją wyszarpnąć.

– Jeśli tak nie jest, narażasz się na wielkie niebezpieczeństwo, ponieważ każda mieszkająca samotnie kobieta działa na przestępców jak magnes.

Odwróciłam się do niego plecami i wstałam, ciągnąc za sobą linę jak ogon – a raczej dwa ogony: jeden przywiązany do torby, drugi leżący na ziemi luzem – podeszłam do najbliższego drzewa, chwyciłam oburącz za pień i rozpoczęłam wspinaczkę.

Wymagało to maksymalnego napięcia nerwów i mięśni, nie ma bowiem większego wyzwania dla amatorów łażenia po drzewach niż buk. Drzewo to ma prosty i wysoki pień pokryty gładką i śliską jak satyna szarą korą. Jedyne stan najwyższej konieczności – oraz, nie przeczę, urażona duma i chęć pokazania wielkiemu Sherlockowi Holmesowi, kto tu naprawdę potrzebuje opieki – skłonił mnie do podjęcia tej próby.

Zacisnęłam zęby, aby nie marnować niepotrzebnie tchu na wypowiedzianie przychodzących mi do głowy brzydkich słów, i zaczęłam mozolnie piąć się w górę. Mimo najlepszych chęci kilka razy osunęłam się po pniu, żałując, że nie odziedziczyłam więcej po małpach, od których, zdaniem Darwina, pochodzimy. Obląpiałam pień otartymi do krwi dłońmi, zapierałam się podeszwami butów. Że też nie mam chwytnych stóp jak szympanśca! Mimo to nie poddawałam się, wysilając do granic możliwości najmniejszą cząsteczkę ciała, aż wreszcie znalazłam się mniej więcej dwadzieścia stóp nad ziemią. Spojrzałam z góry na rów i chociaż nie mogłam dostrzec jego dna, byłam pewna, że brat mnie stamtąd zobaczy.

Ale chwila triumfu trwała krótko, bo uderzyłam o coś głową.

Metal.

Co, u diabła...?

Diaboliczna sprawka, stwierdziłam, przyglądając się niespodziewanej przeszkodzie. Tuż poniżej miejsca, w którym zaczynała się korona drzewa, ktoś umieścił stalową obręcz. Coś jak kołnierz, który wieszka się pod karmnikiem dla ptaków, by zniechęcić wiewiórki, tylko o wiele większy.

Nic dziwnego, że rezydujący tu złoczyńcy czuli się bezpiecznie, mimo że nad parkanem zwiślały gałęzie czerwolistnych buków. Dalsza droga w górę została odcięta.

Obawiam się, że wyszeptalam coś bardzo nieprzyzwoitego. Tak bardzo liczyłam na to, że przed zrzuconiem liny uda mi się bezpiecznie usadowić w koronie drzewa.

Bogowie... Bogowie, żeby was biegunka... żeby was pchły zżarły!

A jednak nie uznałam własnej porażki. Nie tracąc energii na dalsze bezproduktywne inwektywy, przywarłam trzema kończynami do pnia, a wolną ręką zaczęłam podciągać w górę część liny z końcówką przywiązaną do torby.

Każdy ruch ręki w górę wymagał dodatkowo użycia zębów do podtrzymania powrozu. Gdybym popełniła jeden błąd, konsekwencje byłyby oplakane. Tymczasem mięśnie moich rąk i nóg zaczęły już dygotać z wysiłku i słabnąć, więc niebezpieczeństwo rosło z każdą chwilą. Wydawało mi się, że minęła wieczność, zanim torba z zawartością znalazła się kilka stóp pode mną. Wiedziałam, że długo się nie utrzymam. Musiałam więc dołożyć wszystkich sił, by nie chybić, ponieważ druga próba nie będzie mi dana.

Wypatrzwszy grubszy konar rosnący w odpowiednią stronę, zamachnęłam się, wskutek czego torba zatoczyła w powietrzu łuk. Powtórzyłam to drugi raz, a potem dla pewności trzeci...

Nienawykła do latania torba poszybowała w górę, zawisła na chwilę w powietrzu niczym sęp i runęła w dół...

Tak!

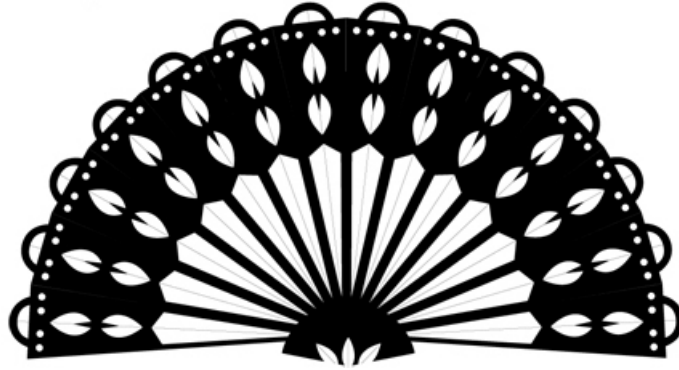
Och, tak, Bogu dzięki. Opadła po drugiej stronie konaru.

Trzeba jeszcze umiejętnie zaklinować torbę w rozwidleniu gałęzi i będę mogła spuścić się po linie.

Czułam przy tym, że coraz słabiej trzymam się pnia.

Zaparłszy się raz jeszcze trzema kończynami o pień, pociągnęłam linę ku sobie, obserwując dyndającą na jej drugim końcu torbę podróżną.

I nagle pierwszy i ostatni raz w życiu poczułam, że doszłam do kresu swoich sił. Oby już nigdy nie było mi dane czegoś takiego przeżyć. Nieposłuszne mojej woli ciało poddało się i poleciało bezwładnie w dół.



## ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Chciałam rozpaczliwie wrzasnąć i miałabym do tego pełne prawo, jednak głośne wycie z pewnością wywołałoby niepożądaną reakcję mieszkańców domu.

Jakimś cudem udało mi się zachować przytomność umysłu i lecąc w dół jak kamień, wydałam z siebie jedynie cichy pisk.

I zdaje się, że przerażenie wlało we mnie nowe siły, ponieważ bezwiednie zacisnęłam dłonie na linie i już jej nie puściłam.

Po chwili – wydawało się, że bardzo długiej, lecz trwającej tyle co kilka szybkich uderzeń serca – lina wyhamowała mnie w locie. Torba szczęśliwie zaklinowała się między gałęziami, a ja dyndałam między niebem a ziemią, kurczowo uczepona liny.

Po chwili siły znów mnie opuściły i zaczęłam się osuwać.

Jednak nawet w tak trudnym położeniu można zadbać o to, by ciało poruszało się w pożądanym kierunku. Wystarczy umiejętnie się wyginać podczas bujania. Po chwili znalazłam się na ziemi, nie wypuściwszy liny z rąk, sprawiając wrażenie osoby w pełni panującej nad swoim lądowaniem. Opadłam niemal miękko na nogi dokładnie tam, gdzie chciałam: obok krawędzi ukrytego ogrodzenia, ale już po drugiej stronie fosy.

– Enolu, co ty, na miłość boską, wyprawiasz? – dobiegł mnie gorączkowy szept (tak, z ręką na sercu potwierdzam, że coś takiego istnieje) z dna fosy.

– Czy... to... nie... jest... oczywiście? – wysapałam. Co tu rozumieć? Pokonałam fosę, i kiedy tylko złapię oddech, udam się w stronę zabudowań.

– Oczywiście jest tylko fakt, że nasza matka urodziła Amazonkę. – W głosie mojego brata szok walczył o lepsze (mam taką nadzieję) z podziwem. – Dlaczego mi nie powiedziałaś, że masz linę? Przywiąż ją do czegoś i zrzuć mi drugi koniec, żebym mógł się wydostać z tej przeklętej czeluści.

Mówił tonem człowieka, który nawykł do tego, że jego polecenia wypełniane są bez szemrania, zanim jeszcze pstryknie palcami. Ale pozostałam głucha na jego rozkazy. Jednak nie mogę się chełpić, że był to z mojej strony przejaw świadomego buntu. Nie reagowałam, ponieważ całkowicie opadłam z sił.

– Enolu, lina.

– Nie ma szans – odpowiedziałam uprzejmie, kiedy znów zaczęłam panować nad oddechem. – Może kiedy będę wracać.

– Co? Jak? Skąd?

– Chcę ustalić miejsce przetrzymywania lady Cecyli i jeśli będzie to możliwe, uwolnić ją. Nie wiesz, gdzie ją trzymają?

– W najbardziej niedostępnej części północnej wieży.

Oczywiście chciał mnie zniechęcić. Usiadłam, otrzepałam się z kurzu i zaczęłam szykować do działania. Zbyt późno zrozumiał, że rzucił mi wyzwanie, którego nie mogłam nie przyjąć.

– Enolu, nie zrobisz tego!

– Może i nie zrobię – przyznałam. – Ale na pewno chcę spróbować.

– Przecież to niemożliwe.  
– Dlaczego? Sam chciałeś to zrobić, zanim wpadłeś do ukrytego rowu. Jaki miałeś plan?  
– Pomóż mi stąd wyjść, to może ci pokażę.  
– Nie, dopóki nie dasz mi swego słowa – odparłam na jego wściekłą propozycję najłagodniej, jak umiałam.

– Co?  
– Poręcz własnym honorem, że zostawisz mnie w spokoju, że nie podejmiesz żadnych prób pozbawienia mnie wolności.

Zapadła cisza.

I był to bardzo dobry znak, ponieważ Sherlock Holmes nie składał pochopnych obietnic. Kiedy dał komuś słowo, robił wszystko, żeby go dotrzymać. Doprawdy, gdyby tylko... gdybyśmy mogli się zaprzyjaźnić... I nagle poczułam w sercu jakiś dziwny trzepot, jakby było poczwarą, z której wydostał się motyl. Puls przyspieszył mi tak bardzo, że słyszałam niemal...

Bicie własnego serca?

W ostatniej chwili zorientowałam się, że to nie to.

W otaczającej ciszy rozległ się odgłos kroków.

Za mną. Nicco z boku.

Ktoś był na zewnątrz.

Szedł od strony domu.

I zaczął się zbliżać w moją stronę.

Zareagowałam błyskawicznie i zupełnie wbrew rozsądkowi – rzuciłam Sherlockowi linę, syknąwszy: – Ciii! Siedź tam! – Przewieszona przez konar lina powinna zlać się w ciemności z pniem drzewa. Bratu nie groziło chyba zdemaskowanie.

Ale co będzie ze mną? Instynktownie przywarłam do ziemi, nie mając żadnego pomysłu, co robić dalej.

– ...mówię ci, że to coś podejrzanego – odezwał się niski, ponury głos, który natychmiast rozpoznałam. Należał do zwalistego mężczyzny, który zaskoczył pewną „śmieciuchę” i który bez zażenowania paradował po mieście z sierotami. – Od godziny Lucyfer nie wydał ani jednego dźwięku.

– I to, że pies nie szczeka, jest wystarczającym powodem, żeby mnie wyciągać z łóżka? – W drugim, również męskim głosie pobrzmiwało nieco dziecinne naburmuszenie. – Doprawdy, ojcze!

– Nie marudź, Bramwell. Te wszystkie środki ostrożności służą twojemu dobru.

Bramwell.

Syn i dziedzic barona Mergansera.

Czyli dobrze się domyślałam, że ten wielki i porywczy człowiek to baron we własnej osobie.

Z przerażeniem podszytym ciekawością patrzyłam, jak ojciec i syn wychodzą spomiędzy buków. Obaj uzbroili się na wszelki wypadek w ciężkie laski. Bramwell był równie przysadzisty jak jego buldogowaty rodzic, jednak z racji wieku przypominał bardziej ropuchę.

W świetle gazowych płomyków pokazała się jego twarz. Nic dziwnego, że nie mógł znaleźć sobie żony w sposób godny dżentelmena.

Obaj podeszli do budy mastiffa. Ojciec wrzasnął:

– Widzisz? Ktoś go podkarmił! – Dramatycznym gestem wskazał na rzuconą przeze mnie kość.  
– Został otruty!

– Nie, twój ukochany Lucyfer żyje. Nie słyszysz, jak bydlak chrapie? Śpi zakopany w pośłaniu.

Zagłądali do psiej budy odwróceniem do mnie plecami. Wykorzystałam to i najciszej, jak się tylko dało, ukryłam się w cieniu, pełznąć wspak jak wsuwający się pod skałę skorupiak, by móc ich dalej obserwować.

– Ja też powinienem leżeć teraz w łóżku – dodał Bramwell opryskliwie.

– Milcz, ośle! Trucizna albo proszek nasenny... Czyli ktoś usiłuje się tu przedostać!

– No i?

– Ktoś się wtrąca w nasze sprawy!



– I co z tego? Jeśli się nawet zakradnie na wieżę, znajdzie tam tylko chłopca stajennego w dziewczynskich fatalaszkach.

– Stul dziób! – Wściekłość barona zmroziła mi krew w żyłach. Odwrócił się w stronę syna i miałam wrażenie, że zaraz go uderzy. Ograniczył się jednak do warknięcia: – Ani słowa więcej na ten temat. Zrozumiałeś? Odpowiedz!

– Tak, ojczec – odparł potulnie Bramwell.

– Weźmiemy pistolety i przeszukajmy całą posiadłość. Szybko!

– Tak, ojczec. – Bramwell pokornie podreptał za baronem w stronę domu.

Kiedy się oddalili, zauważyłam kątem oka ruch po mojej drugiej stronie. Ze zwinnością godną majtki Sherlock wspiął się po linie i wypełził z rowu, a potem odwrócił się w stronę ogrodzenia.

Całkiem rozsądnie. Wywnioskowawszy ze słów Bramwella – podobnie jak ja – że lady Cecyli nie przebywa w wieży, postanowił uciec. I świetnie. Leżąc plackiem na ziemi w cieniu drzewa, marzyłam, by móc zrobić to samo, i czekałam, aż zniknie. Dobrze znałam przebiegłość brata i wiedziałam, że zagraża mi w równym stopniu co baron i jego szpetny syn.

Sherlock zdążył już stanąć na nogi... a raczej na jednej nodze, unosząc drugą, zabandażowaną w dostarczony przeze mnie opatrunek. Widziałam wyraźnie, że opieranie spuchniętej, przypominającej duże białe L kończyny o ziemię sprawia mu ból. Cały ciężar ciała przeniósł na zdrową nogę. Widać było, że doznał bardzo poważnego urazu i powinien bezzwłocznie opuścić posesję barona.

Naturalnie, spodziewałam się, że pokuśtyka teraz w stronę ogrodzenia, i to bez namysłu.

Tymczasem on, chwytając się na jednej nodze, rozejrzał się po podwórzu i zawołał zdławionym głosem:

– Enola!

A niech go grom spali! Leżąc ukryta w cieniu, zacisnęłam pięści z bezsilnej wściekłości. Jednak nie da mi spokoju! Ale jednocześnie znów poczułam w sercu ukryty motyli trzepot.

– Enolu, chodźże tu! Bez ciebie się stąd nie ruszę.

Nie miałam wątpliwości, że mówi serio. Wiedziałam przecież nie od dziś, że Sherlock Holmes to dżentelmen w każdym calu. Nie potrafiłby posłuchać w tych okolicznościach głosu rozsądku.

Wymamrotałam parę najgorszych słów, jakie znałam, i podniosłam się, rozplątując nerwowo związane na spódnicy supły. Znalazłam sobie czas na granie skromnisi! Ale nie potrafiłabym się pokazać bratu z odsłoniętymi kolanami. Targana najdziwniejszymi uczuciami rzuciłam się pędem w jego stronę, a brązowy tweed opadł, zasłaniając mi nogi aż po kostki.

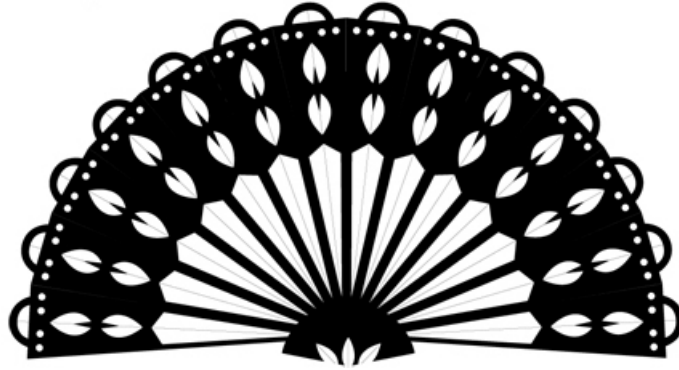
Dzielił nas tylko rów. Przyglądałam się bacznie twarzy Sherlocka, usiłując wyczytać z niej, co zamierza zrobić. Ale on rzucił mi tylko krótkie spojrzenie.

– Enolu, piorunem! – I cisnął w moją stronę końcówkę liny.

Chwyliłam ją w locie i stałam dalej, wpatrzona w twarz brata... Jaki miał plan? Przecież niczego mi nie obiecał.

I nie miał najmniejszego zamiaru tego robić. Spoglądał na mnie z kamiennym wyrazem twarzy. Jednak zauważyłam w jego wzroku wyzwanie, jakby prosił mnie, bym przynajmniej na tę jedną chwilę mu zaufała.

– Niech cię licho, Sherlocku Holmesie – warknęłam w jego stronę i przyjąłam wyzwanie. Chwycając mocno zwisającą z bukowej gałęzi linę, pokonałam dzielący nas rów i wylądowałam lekko u boku brata.



## ROZDZIAŁ JEDENASTY

Zorientowałam się, że stoję za blisko Sherlocka, i gwałtownie się cofnęłam. Poczułam zalewający moją twarz rumieniec wstydu, ale na szczęście w ciemności nie było chyba widać, że się zaczerwieniłam. Przeszłam płynnie do działania, jakbym od początku to sobie zaplanowała, podbiegłam do parkanu i zaczęłam się wspinać, nie wypuszczając z ręki luźnego końca liny.

Sherlock przykuśtykał do ogrodzenia.

– Zostaw to diabelstwo – rzucił.

Nie odpowiedziałam mu, bo chwyciłam linę w zęby, żeby zapanować nad krępującą ruchy spódnicą. No i dlaczego miałabym pozbawiać się liny? Zabrałam ją z myślą o Sherlocku. Jak chciał przeleźć przez płot z obolałą nogą? Kiedy dotarłam już na najeżoną szpiculcami górę parkanu, przywiązałam koniec liny do jednego z grubszych prętów i rzuciłam ją bratu.

Czy okazał mi wdzięczność?

A gdzie tam.

– Nie będzie mi potrzebna – powiedział.

– Stać gdzie stoicie! – rozległ się od strony gotyckiego dworu głośny ryk barona i niemal jednocześnie huknął jeszcze głośniejszy strzał. – Stać, złodzieje! – Usłyszałam kolejny huk i brzęk kuli, która trafiła w ogrodzenie niedaleko nas.

Ani myślałam się zatrzymywać i błyskawicznie znalazłam się po drugiej stronie parkanu. Sherlock pokonał go równie szybko, wykorzystując zgrabnie linę, której rzekomo nie potrzebował. Kiedy padł trzeci strzał... czy może czwarty... wydarzenia potoczyły się tak szybko, że wszystko mi się zatarło w pamięci... Wraz z kolejnym strzałem Sherlock był już po drugiej stronie płotu i opuszczał się na ziemię. Słyszałam coraz bliżej ryki barona i piskliwe pokrzykiwania jego syna, znów huknął strzał, a może dwa, i nagle Sherlock runął ciężko na ziemię.

– Nie! – Mam nadzieję, że już nigdy nie będzie mi dane odczuć tak wielkiego przerażenia i tak dojmującej rozpacz, jak wówczas, kiedy biegłam w jego stronę. Byłam pewna, że został trafiony, że jest ranny, że krwawi, albo gorzej, wydaje ostatnie tchnienie...

Jednak nie! Przeżył. Zanim zdążyłam do niego dobiec, zaczął się podnosić z ziemi. Chwyciłam go za ramię i szarpnęłam w górę.

– Oprzyj się o mnie – poleciłam. I rzuciłam się do ucieczki, ciągnąc go z całych sił za sobą. Na szczęście nie był ciężki, mimo swego wysokiego wzrostu. – Szybko! Tędy! – Przeprowadziłam go przez sąsiednią posesję przejściem prowadzącym do wychodka, drogą, którą znałam ze swojej poprzedniej eskapady. – Czy jesteś ranny?

– Rany odniosła jedynie moja duma, po tym jak straciłem równowagę.

Mówił to ściśniętym z bólu głosem, więc mu nie uwierzyłam.

– Nie trafili cię?

– Z pistoletu? Z takiej odległości? Mogli z tym zaczekać, aż znajdą się bliżej.

Znów był dawnym, pełnym wyniosłości Sherlockiem. Poczułam przypływ ulgi.

– Chwała Bogu.

– Bóg nie ma z tym nic wspólnego, sama chyba słyszysz.

Rzeczywiście, ścięły nas najplugawsze przekleństwa. Słyszeliśmy je, przełaząc przez dziurę w czyimś ogrodzeniu, mijając pustą oborę, przechodząc przez pograżoną w mroku nieczynną mleczarnię. Wsparły o moje ramię Sherlock utykał okrutnie.

– Stańmy na chwilę – wyszeptał, ciężko dysząc. – Posłuchaj. – Zatrzymał się.

Przeszłam kawałek dalej, zmuszając go, by mnie puścił. Oddaliłam się o parę kroków. Usłyszałam, że do wrzasków barona i jego syna dołączyły śpiewne napomnienia znanego mi już konstabla.

– Na litość boską, nie budźcie niewinnych ludzi! – nawoływał. – Bo tych winnych już dawno tu nie ma.

Ryki, warczenie, huk.

– Możecie sobie strzelać, ile dusza zapagnie, we własnej posiadłości, ale nie wolno biegać z bronią po ulicach.

Kolejne ryki i powarkiwania.

– W końcu nic złego się nie stało, nawet zostawili wam na pamiątkę kawał porządnej liny. Wracajcie do domu, jutro rano zgłóście sprawę w komisariacie. A ja tymczasem będę wypatrywał tych gagatków.

W ciszy nasłuchiwalismy, jak policjant rusza w drogę, by podjąć przerwany obchód. Jego miarowy krok rozległ się tuż obok nas, potem zaczął cichnąć i zaniknął.

– Już dawno nas tu nie ma, co? – zamruczałam, kiedy zapadła błoga cisza. – Bardzo bym tego chciała.

– Powinnaś uciekać, Enolu – odezwał się stłumionym głosem brat. – Poradzę sobie sam.

Pozwala mi odejść, chociaż był już tak bliski schwytania mnie w swoje szpony? Ktoś mógłby pomyśleć, że będę mu wdzięczna za tę rycerskość. Ale nie, zdenerwowałam się tylko i spytałam:

– A co z baronem i jego gadzinowatym synalkiem?

– Chyba możemy śmiało założyć, że dali za wygraną. – Sherlock opierał się teraz ciężko o kamienny blok, na którym formowano kiedyś masło i sery. W ciemności widziałam tylko zarys jego sylwetki. – Gdyby nie posłuchali napomnień konstabla, ściągnęliby tylko na siebie podejrzenia.

Parsknęłam. Obawiam się, że jak koń.

– Ale ja nie o tym mówię. Chodzi o to, co zrobili z młodą lady. Wygląda na to, że dziewczyna, którą zabierają landem na przejażdżki, to przebrany chłopiec stajenny. Figurant. Ale gdzie jest Cecily?

Zapadła cisza. Żałowałam, że nie widzę wyraźnie jego twarzy. W końcu odpowiedział:

– Wszystko wskazuje na to, że dałem się wystrychnąć na dudka i nie widziałem lady Alistair w Londynie.

– A ja tak.

– Co? Kiedy? Gdzie?

– Tydzień temu, w... Obok Muzeum Brytyjskiego. Właśnie miałam ruszyć jej śladem, kiedy zostałam zmuszona do potraktowania kopniakiem Mycrofta.

– Co takiego?!

– Nasz brat próbował mnie schwytać, więc kopnęłam go w goleń i uciekłam. Nie mówił ci?

Jak widać nie, bo Sherlock wybuchnął spazmatycznym śmiechem. Śmiał się niemal bezgłośnie, ale tak serdecznie, że aż nim zarzucało i musiał się przytrzymać kamiennego blatu.

Obawiałam się, że to zapowiedź ataku hysterii. Najwyższy czas zadbać o bezpieczeństwo brata. Kiedy tylko uspokoił się na tyle, by posłuchać głosu rozsądku. Miałam nadzieję... Zwróciłam się do niego:

– Chodźmy, czas odstawić cię do domu. A może prosto do doktora Watsona?

Sherlock wyprostował się, tłumiąc chichot.

– Na rogu Boarshead i Oakley czeka na mnie dorożka.

Aha. Świetnie.

– Mogę cię tam zaprowadzić przez opłotki – zaproponowałam.

– Na skróty?

– Tak. Mniejsze ryzyko, że natkniemy się na konstabla.

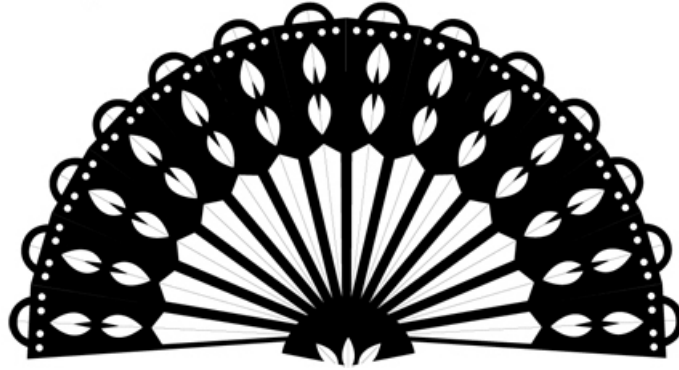
– Doskonale. – Spróbował stanąć prosto, jednak skrzywił się z bólu, obciążony nieopatrznie ranną nogą. – Gdybyś była tak uprzejma i jeszcze raz posłużyła mi ramieniem...

Nie ruszyłam się z miejsca, usiłując wyczytać coś z jego nieprzeniknionej twarzy. Nie zahałam się udzielić mu pomocy w sytuacji zagrożenia życia, teraz jednak nie miałam pewności, czy można mu zaufać. Był niewiarygodnie przebiegły, więc nie zdziwiłabym się, gdyby wykorzystał chwilę mojej nieuwagi i zakuł mnie w kajdanki.

– A jeśli wolałabyś tego uniknąć – dodał, domyślając się, dlaczego pozostaję w bezruchu – to może znalazłabyś jakiś pręt czy kij, który mógłbym wykorzystać jako laskę.

Powiedział to bezbarwnym głosem, a ja poczułam, że tłące się we mnie nienazwane uczucie, które jedynie przeczuwałam, ale do którego nie śmiałabym się przyznać, gdzieś się ulatnia.

Po chwili jednak coś zatrzepotało mocno i boleśnie w moim sercu. Puściłam mimo uszu głos rozsądku, podeszłam do brata, stanęłam tuż obok i pozwoliłam mu się oprzeć o moje ramię.



## ROZDZIAŁ DWUNASTY

Prawie się do siebie nie odzywaliśmy. Przemknęliśmy niepostrzeżenie ciemnymi zaułkami, przez ogródki warzywne, jakiś podjazd, z którego oszczeakał nas pies, przez szumiące żywopłoty, skrzypiące bramy, aż wreszcie przeszliśmy pod czyimiś ciemnymi oknami na Oakley Street. Tam czekała dorożka, solidny, kryty czterokołowy pojazd, stojący na rogu jak niebiański rydwan skąpany w blasku latarni.

I dopiero wówczas kuśtykający pół kroku za mną Sherlock odezwał się, odpowiadając mi na pytanie, które nie padło.

– Nie byłbym godny miana dżentelmena, gdybym nie podziękował ci z całego serca i nie pozwolił odejść, dokąd dusza zapagnie.

Serce skoczyło mi z radości.

– Ale tylko dzisiaj.

Serce zamarło w pół skoku i oklapło. Spodziewałam się, że brat może wyskoczyć z takim zastrzeżeniem, a jednak liczyłam, że... Mniejsza z tym, poczułam bolesne ukłucie zawodu. Odpowiedziałam porywczo:

– Dlaczego, na miłość boską, musisz mnie wiecznie ścigać? Czy nie rozumiesz...?

– Doceniam twoje niezwykle umiejętności, droga siostrzyczko, ale mam też obowiązek zadbać o twoją przyszłość. Jak chcesz wyjść za mąż, prowadząc taki tryb życia?

No tak, żaden szanujący się mężczyzna nie zechce nawet spojrzeć na dziewczynę, która łązi po drzewach i spuszcza się po linach.

– I co z tego? – odparłam. Nikomu dotąd na mnie nie zależało, co za różnica, jeśli dalej tak będzie? A jednak obawiam się, że w moim głosie zabrzmiała gorycz. – Przywykłam do samotności.

– Ależ z pewnością... Enolu... nie zamierzasz być do śmierci starą panną.

I kto to mówi? Zdeklarowany kawaler.

– Świat jest pełen niebezpieczeństw. Kobieta potrzebuje mężczyzny, który ją przed nimi uchroni.

No tak, mówił to, ledwo idąc i opierając się coraz ciężiej na moim ramieniu.

– Bredzisz – odpowiedziałam. – Jeszcze jedno takie stwierdzenie, doprowadzające mnie do szewskiej pasji, i dostaniesz kopniaka w chorą nogę.

– Enolu, nie odważyłabyś się!

– Masz rację – przyznałam. – Wolałabym ci uszkodzić drugą.

– Enolu! – krzyknął zszokowany. Chyba mi uwierzył.

– Koniec gadania o twoim tak zwanym obowiązku – ucięłam. – Pozwól, że coś ci przypomnę: sam chcesz uchronić nieszczęsną lady Cecily przed małżeństwem i tak zwaną męską opieką. Wolno mi spytać, jak masz zamiar się za to zabrać?

Cisza.

– Możesz ustalić, gdzie ją przetrzymują?

Odpowiedział nieco wymijająco, ścisząc głos:

– Okazałem się skończonym durniem. Wmówiłem sobie, że więżą ją w domu barona. Zamiast uwodzić pokojówkę...

– A, Bridget, jak mniemam?

Skrzywił się.

– Niczego konkretnego od niej nie wyciągnąłem. Trzeba było jechać w ślad za powozem, nawet uczepiwszy się...

– Z taką nogą niewiele byś zdziałał.

– Doskonale wiem, w jakim stanie jest moja noga! – zawołał z wściekłością. Zatrzymał się i oparł o słupek bramy mijanej posesji, żeby stanąć twarzą do mnie. – Enolu, zdradź mi, co wiesz o tej sprawie. Bądźże tak uprzejma.

Ucieszyłam się, że nasze spotkanie przedłuży się o parę minut, ale nie dałam tego po sobie poznać i postawiłam warunek:

– Najpierw sam mi powiedz, co wiesz. Czy lady Theodora może się z tobą swobodnie kontaktować?

– Niestety, tak. Jej sprzeciw wobec planów sir Eustace’a dotyczących zamążpójścia ich córki jest tak wielki, że zdecydowała się na separację. Zabrała dzieci i wyjechała na wieś do majątku swoich rodziców.

Kiedy brat zdradził mi nazwę i adres wiejskiej posiadłości, bez oporów opowiedziałam mu o swoim ostatnim spotkaniu z panną Cecily Alistair, przemilczawszy jedynie to, gdzie do niego doszło. Raz, ponieważ kierowały mną wymogi przyzwoitości, dwa, ponieważ pragnęłam mieć w odwodzie bezpieczną kryjówkę. Napomknęłam jedynie, że widziałam ją „w miejscu publicznym”. Nie pominęłam jednak żadnego ze szczegółów dotyczących eleganckich przyzwoitek młodej damy, jej krępującego ruchu ubioru, jej wynędzniałego wyglądu ani tego, że mnie rozpoznała. Zdałam mu pełną relację z niemej rozmowy, którą przeprowadziła ze mną za pomocą tandetnego wachlarza, i opowiedziałam, w jak sprytny sposób zadbała, by dostał się w moje ręce, oraz jak brzmiała odcyfrowana przeze mnie wiadomość zapisana na różowym papierze.

– Jej przyzwoitki to wicehrabina Inglethorpe i baronowa Merganser – dodałam.

– Jesteś tego pewna?

– Najzupełniej.

Nie wnikał, skąd mam tę pewność.

– Czyli dorwali lady Cecily w szpony i przetrzymują ją w okropnych warunkach. A niech to. – Odniosłam wrażenie, że ucieka przed własnymi myślami, ponieważ nieoczekiwanie podjął przerwana wędrówkę, opierając się na moim ramieniu.

Spróbowałam napełnić go otuchą.

– Z całą pewnością istnieją granice niegodziwości, do której są zdolni. Mogą, rzecz jasna, zaciągnąć dziewczynę siłą do ołtarza, jednak nie zdołają jej zmusić do powiedzenia sakramentalnego „tak”.

– Przypisujesz tej pannie własny upór, Enolu.

Powiedział to lekko drwiącym tonem. Nie miałam pewności, czy była to z jego strony kpina, czy zakamuflowany komplement.

– Wątpię, by posiadała tę cechę – kontynuował – o czym sama powinnaś najlepiej wiedzieć po tym, jak wyrwałaś ją z siodeł mesmerysty. Lady Cecily dowiodła swojej skłonności do podporządkowania się cudzej woli. Łatwo nią manipulować. Jak twierdzi lady Theodora, po uprowadzeniu zmieniła się nie do poznania i przypomina łódź, która zboczyła z obranego kursu.

– To prawda – mruknęłam, nie próbując mu nawet wyjaśnić, że wychowanie w terrorze praworęczności doprowadziło do wykształcenia się u niej dwóch jaźni: tej na pokaz, czyli potulnej i uległej córki, oraz skrywanej – błyskotliwej, zbuntowanej, leworęcznej zwolenniczki reform, której nie wolno zamykać w klatce zwanej dla niepoznaki małżeństwem.

Sherlock ciągnął dalej swój wywód:

– To, co mi o niej opowiadano, każe mi się poważnie obawiać, że jeśli nawet ją odszukam i podejmę próbę jej uwolnienia, dziewczyna może podnieść larum, wzięwszy mnie za porywacza.

Nonsens.

Ale nie wnikając w treść jego oświadczenia, uczepiłam się zawartej w nim sugestii.

– Masz nadzieję ją odszukać, mimo że w Londynie istnieją niezliczone możliwości jej ukrycia?

– Nadzieja nie ma tu nic do rzeczy. Muszę ją odszukać albo zlecić komuś ustalenie miejsca jej pobytu. Nawet gdyby miała to uznać za kolejną próbę kidnapingu.

– Z pewnością tak nie pomyśli. Pokażesz jej to. – Sięgnęłam za tak zwany gors, będący w istocie składnicą najrozmaitszych przedmiotów, i wyciągnęłam różowy papierowy wachlarz ozdobiony rządkiem różowych piórek.

Brat wydał dźwięk przypominający nocny krzyk derkacza i znów przystanął.

– Czy to jest... właśnie ten...?

– Nie, to duplikat. – Wręczyłam mu papierowe cacko kupione w firmie przy Gillyglade Court. – Ale jeśli cię z nim zobaczy, będzie wiedziała, że jesteś po jej stronie.

Schował wachlarz do kieszeni.

– Dziękuję – powiedział, ale wyczułam w jego głosie sporo wątpliwości i mało nadziei. – Z pewnością będę sprawiał przeurocze wrażenie.

Przewróciłam oczami i spytałam:

– A masz lepszy plan?

– Jeszcze nie.

– Ja też nie. – Byliśmy już o kilka kroków od czekającej na ulicy dorożki. Przystanąłam. – Teraz musisz sobie sam poradzić, nie odprowadzę cię dalej. – Wolałam uniknąć blasku latarni, żeby brat nie mógł się przyjrzeć mojemu przebraniu ani innym szczegółom mojego wyglądu. W tej chwili niczego innego się już nie obawiałam. Zapomniałam nawet o strachu przed podstępym wciągnięciem mnie do dorożki.

Dziwne. Dopiero kiedy puścił moje ramię i oddalił się ode mnie, przypomniałam sobie o tym, że powinnam się go bać. Był znacznie wyższy niż ja.

I taki przystojny... Przynajmniej w moich oczach. Patrzyłam na jego profil rysujący się ciemnymi kształtami w świetle latarni gazowej.

– A może zabierzesz się ze mną, Enolu? Napijemy się herbaty i przedyskutujemy dalsze kwestie dotyczące tej sprawy.

*Czy mogę panią prosić na pokoje?* – powiedział pajak do muchy. Nie, jestem niesprawiedliwa. Sherlock Holmes dał mi swoje słowo, którego nigdy by nie złamał. Na pewno byłoby miło spędzić jeszcze kilka godzin w jego towarzystwie...

Ledwo to pomyślałam, serce ścisnęło mi się pod wpływem uczucia bliskiego euforii. Wreszcie zrozumiałam, że źródłem mojego lęku była sympatia, którą czułam do brata. Gdybym spędziła parę kolejnych godzin w jego towarzystwie, mogłoby się okazać, że nie znajdę w sobie sił, by odejść. I niczym jakieś nocne stworzenie z baśni zaskoczy mnie brzask i popadnę w niewolę.

– Może innym razem, dziękuję – odpowiedziałam w stanie bliskim paniki.

– Nie będzie innego razu. Wymuszony ślub ma się odbyć za dwa dni, licząc od jutrzejszego poranka.

O bogowie!

– Co? – krzyknęłam, a potem nieco przytomniej spytałam: – Gdzie?

– W tym sęk. Nie mam pojęcia.

O parszywi bogowie!

– Bridget wyjawiała mi jedynie, że ma się odbyć w jakiejś położonej na pustkowiu kaplicy.

O krościaci i pryszczaci bogowie!

– Na pewno nie chcesz się ze mną zabrać, Enolu? – upewnił się Sherlock.

W mojej głowie rozszalała się burza myśli i uczuć. Pokręciłam gwałtownie głową.

– Muszę to wszystko *gruntownie przemyśleć* – odparłam.

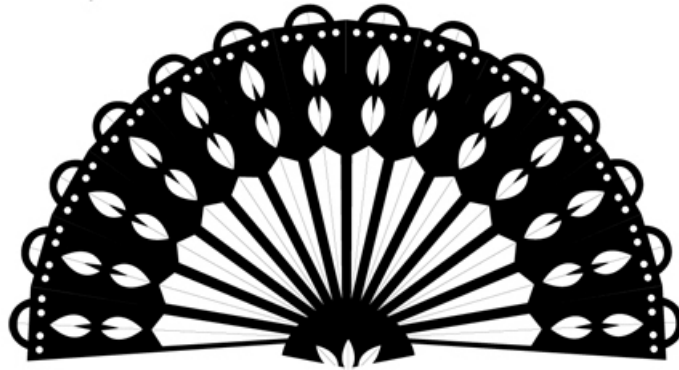
– Rozumiem. W takim razie mogę ci jedynie serdecznie podziękować za dzisiejszą pomoc. – Wyciągnął rękę, by mi ucisnąć dłoń.

A może chce mnie pochwycić? Czyżby miał mnie za idiotkę?

Jednak nie chciałam, nie mogłam urazić jego uczuć. Musnęliśmy się czubkami palców, a potem jego obciążona rękawiczką dłoń otoczyła moją brudną łapę, uwalaną ziemią i zaschniętą krwią. Uścisk zaczął się niepokojąco przedłużać, więc cofnęłam rękę.

– Moja kochana, płochliwa siostrzyczko – zamruczał z przekąsem i, jak mi się wydało, z żalem.  
– Przypominasz mi dzikiego kuca z wrzosowiska. A zatem żegnam cię, do kolejnego spotkania. –  
I oddalił się, kulejąc.





## ROZDZIAŁ TRZYNASTY

Oszczędzę łaskawemu czytelnikowi pełnej relacji z pozostałej części nocy. Powiem tylko, że kiedy odprowadzałam wzrokiem uwożącą brata dorożkę, dopadła mnie nagła, nieoczekiwana erupcja uczuć, istny Wezuwiusz emocji, nad którymi nie byłam w stanie zapanować. W drodze powrotnej na East End raz po raz zanosilałam się łkaniem. Kiedy dotarłam wreszcie do domu, rzuciłam się na łóżko i – skrajnie wyczerpana – zapadłam w głęboki sen. Rano, po przebudzeniu, ponownie zalałam się łzami. Nie mogłam się pokazać w takim stanie na śniadaniu. Nie mając zatem powodu, by się przebrać, siedziałam dalej w koszuli nocnej. I tylko nagły, irracjonalny lęk: A jeśli brat mnie wczoraj śledził? – kazał mi się zwlec z łóżka. Rozdygotana wskutek nagłego ataku paniki wyjrzałam przez szparę między ramą okienną a roletą. Oczywiście, za oknem nie było ani śladu Sherlocka. Stwierdziwszy to, poczułam ulgę i jakieś niewytłumaczalne rozczarowanie.

Targały mną sprzeczne uczucia, a myśli rozpierzchały się jak stado przerażonych ptaków we wszystkich możliwych kierunkach: poniosłam fiasko, miałam związane ręce, nie mogłam już pomóc nieszczęsnej lady Cecyli, nie mogłam jej też poratować Sherlock z urazem stopy (oby nie było to złamanie!). Zastanawiałam się, czy udał się po poradę do doktora Watsona, zachodziłam w głowę, dlaczego nie zabrał swego przyjaciela i współnika na rekonesans pod dom barona. Próbowałam dociec, gdzie bandycki klan Merganserów ukrył swoją ofiarę. Zastanawiałam się, gdzie się teraz podziewa moja matka i czy aby nie grozi jej niebezpieczeństwo... *Nie myśl o mamie*. Zastanawiałam się, czy Sherlock rozmówił się już z Mycroftem. Niech diabli porwą Mycrofta, przecież od razu mu poda adres wzmiankowanego przeze mnie „publicznego miejsca”. Muszę się trzymać jak najdalej od Umywalni dla Dam i nigdy więcej nie udawać naukowczynie w burej sukni, w której widział mnie Mycroft. Asortyment dostępnych mi przebrań kurczył się po każdym spotkaniu z którymś z braci. Sherlock widział mój tweedowy kostium; muszę się go pozbyć. Mama zostawiła w szafie podobny, kiedy postanowiła uciec z domu... dlaczego, do licha, wciąż myślę o mamie? Matka mnie porzuciła, a ja bolałam nad tym, że funkcja opiekuna nieletniej przypadła Mycroftowi, a nie Sherlockowi, który – jak przeczuwałam – darzy mnie czymś w rodzaju sympatii... Nie. Nie wolno mi ufać żadnemu z nich. Czego dowiedział się wczoraj o mnie Sherlock? Stanowczo zbyt wiele; jak mogłam być tak beznadziejnie głupia, żeby aż tyle czasu przebywać w jego towarzystwie? Sherlock wiedział już, że noszę przy sobie najrozmaitsze użyteczne przedmioty. Czy zauważył też, *gdzie* je ukrywam? Czy dostrzegł w ciemności moje pełne kobiece kształty? Czy domyślał się, że używam uzdatniacza biustu, wypełniaczy bioder i innych oszustw? Czy chcąc zmylić trop, muszę teraz zacząć wszystko od nowa, przebierając się za Bóg wie kogo, może za Cyganek-co-prawdę-ci-powie?

Ale mimo wszystko... *mimo wszystko* tak bardzo pragnęłam znów się z nim spotkać. Wyobrażałam nas sobie zajętych rozmową, idących ręką w rękę jedną z londyńskich ulic. Było tyle pytań, których nie ośmieliłam się mu zadać poprzedniej nocy. Czy miał jakieś wieści z Ferndell, siedziby naszego rodu, w której oboje się wychowywaliśmy? Jak się miewał Lane, nasz kamerdyner, pani Lane, kucharka, ich nierozgarnięty syn Dick i o wiele bardziej rozumny od niego Reginald, owczarek szkocki? Czy w wiosce Kineford wydarzyło się coś nowego? A co słyhać w Londynie? Jak się miewają doktor

Watson i jego małżonka, i co słyhać u pani Hudson, gospodyni Sherlocka, którą poznałam przy okazji wykradania mojej książki z szyframi? A skoro o szyfrach mowa: *Kiedy udałeś się do Ferndell, mój drogi braciszku Sherlocku, by przeprowadzić śledztwo, co tam znalazłeś? Co mama ukryła za lustrem?*

I w tej jednej chwili moje serce ścisnął skurcz, wszystkie roztrzępotane przepiórki odfrunęły, że się tak wyrażę, a szalejące w moim umyśle emocje skupiły się z zaciętką, niemal obłąkaną energią na tym jednym pytaniu: *Czy mama zostawiła dla mnie jakąś wiadomość?*

Pytanie pozbawione jakichkolwiek walorów praktycznych.

A jednak, w tamtej pełnej rozterek chwili, uznałam, że ma pierwszorzędne znaczenie. Ponieważ wreszcie zrozumiałam, dlaczego nie podjęłam żadnej próby odszukania mamy.

Dlaczego ociągałam się przed ponownym spotkaniem.

I co ze mnie za córka? Przerażona i tyle.

Nie byłam wcale pewna – chociaż wiedziałam, że mamie na swój sposób na mnie zależy – czy chciałaby mnie znów zobaczyć.

*Nie bądź tchórzem, Enolu. Powiedz to na głos. A jeśli nie potrafisz, powiedz to w myślach.*

Nie wiedziałam, czy nie okażę się głuptasem, łudząc się, że mama mnie kocha.

Ale jeśli zostawiła mi za lustrem jakąś wiadomość...

Pytanie to dręczyło mnie do końca dnia. Niczym lawa zalało wszelkie inne kwestie, grzebiąc je głębiej niż targowisko w Pompejach. Jednak rozbudzona potrzeba, którą tak długo od siebie odsuwałam, nie mogła dłużej czekać. Tego ranka, pozbawiona jakichkolwiek wieści od mojej mamy, uznałam, że nie mam po co żyć.

Kiedy dziesięć miesięcy temu, w dniu moich urodzin, mama opuściła niespodziewanie dom rodzinny, zostawiła mi małą, sporządzoną własnoręcznie książeczkę z szyfrowanymi wiadomościami, które po odczytaniu pozwoliły mi wejść w posiadanie okazałych sum pieniędzy, poukrywanych w mosiężnych kolumnach łóżka, pod zdobitymi ścianami akwarelami itp. Pieniądzy, dzięki którym mogłam uciec z domu i uniknąć zesłania do pensji dla panien. Nieszczęśliwym zrzędzeniem losu zeszyt z szyframi wpadł w ręce pewnego rzeźmiesza, a kiedy tego ostatniego ujęła policja, zabrał go Sherlock. Udało mi się odzyskać zeszyt, kiedy zakradłam się potajemnie do mieszkania brata. Odkryłam przy tym jego ołówkowe notatki poczynione na marginesach kart i dowiedziałam się, że udało mu się odczytać jedną, jedyną wiadomość, której sama nie potrafiłam odcyfrować, na stronie ozdobionej malunkami bratków.

NIECH SPOKÓJ DUCHA BĘDZIE TWÓJ ENOLU PATRZ W ME LUSTRO.

Bratki wyglądają jak małe twarzyczki – może dlatego w mowie kwiatów symbolizują myśli. Mama nazywała je czule „sierotkami”, mnie kojarzyły się jednak z elfkami o zaczesanych do góry włosach – dwa ciemniejsze płatki na górze – nad ich wiekowymi, pełnymi mądrości twarzyczkami. Gdybym bardziej się skupiła na samych bratkach, a nie na tym, co dzięki nim mogę znaleźć, domyśliłabym się zapewne, w jaki sposób mama zaszyfrowała wiadomość:

NI SP JD AB IE JE UP ZW US

EC OK UC ED TW NO AT ME TR

H Ó H Z Ó L R L O

Po umieszczeniu trzech wersów jeden nad drugim trzeba było ułożyć litery tak, by odzwierciedlały układ pięciu płatków bratka. Powstałe w ten sposób „bratki” należało odczytać osobno, a wówczas układały się w logiczną treść:

NIECH SPOKÓJ DUCHA BĘDZIE TWÓJ ENOLU PATRZ W ME LUSTRO

Mama ukryła coś w swoim lusterku na toalecie albo pod brązowym papierem pokrywającym tył lustra wiszącego na ścianie.

*Niech spokój ducha będzie twój, Enolu.*

Czy tego właśnie życzyła mi mama? A może to jakaś gra słów? Może bratki to aluzja do moich braci?

Czy mama wybrała bratki z jakiegoś ważnego powodu? Czyżby ta wiadomość miała mnie zaprowadzić po jej odszyfrowaniu do tego, na czym mi najbardziej zależało? Do wyjaśnień z jej strony,

do słów pożegnania, a może nawet... Czy odważę się to przyznać? ...do wyznania uczuć?

Dość tego zwlekania. Wybadam to.

I kiedy tylko poczułam mobilizację do działania, lzy przestały płynąć, ustąpiło drżenie i przestałam dreptać boso po sypialni. Byłam jeszcze w koszuli nocnej, ale czułam, że mam cel. Chwycałam swój przenośny blacik do pisania, zrzuciłam z niego pozostawione tam przedtem kartki i zabrałam się do układania tekstu do mamy, który miałby się ukazać w dziale ogłoszeń drobnych „Pall Mall Gazette”.

Nagryzmoiliłam szybko:

*Mamo. Nigdy nie znalazłam tego, co zostawiłaś w lustrze. Proszę, powiedz mi, co to było.*

Hmm. Trochę to za długie do zapisania szyfrem.

Tym bardziej że Sherlock i Mycroft, których nie chciałam wtajemniczać w te sprawy, mogliby z łatwością to odczytać.

Chyba że użyłabym nieznanego im szyfru:

*Moja chryzantemo: ostatnia litera sprzecznych uczuć, druga lub czwarta stałości, pierwsza fałszywej skromności, trzecia, piąta lub ósma niebezpieczeństwa, szósta chęci walki...*

W mowie kwiatów symbolem sprzecznych uczuć jest łubin, stałość symbolizuje lilia, fałszywą skromność – groszek, niebezpieczeństwo – rododendron, chęć walki – mieczyk... Zapisałam w ten sposób słowo NIGDY.

Wciórności! Nic z tego. Za długie, zbyt rozwlekłe, no i – choć starałam się nawiązać do kwiatów, których znaczenie było w miarę jednoznaczne – mogło zostać niewłaściwie odczytane.

Zastanowiłam się przez chwilę, uśmiechnęłam i spróbowałam inaczej:

Narcyz kwitł w wodzie, bo jednego było mu brak,

Chryzantema w szkle kwitła, bo miała aż dwa,

Bluszcz nie odgadł, mimo szczerych chęci

Irysowej wieści zostawionej ku pamięci.

I to jest to! Zagadka, nonsensowny wierszyk o kwiatkach. Narcyz to kwiat, ale zanim bogowie zamienili go w roślinę, był greckim młodzieńcem, który zakochał się we własnym wizerunku odbitym w tafli wody. Nie posiadał lustra, ale Chryzantema, czyli moja mama, kwitła w szkle – w szkle zwierciadła. Bluszcz to, rzecz jasna, ja sama, a nie udało mi się odszukać kwiatu o nazwie irys – tu kolejna kwiatowa aluzja do greckiej mitologii: Irys była boginią, która przносиła wieści z Olimpu na ziemię po moście tęczy. Mama zostawiła dla mnie wiadomość, prawdopodobnie ukrytą za szkłem.

Poczułam wielką ulgę i przepisałam tekst w kilku egzemplarzach, które miały trafić do redakcji „Pall Mall Gazette” i paru innych ulubionych przez mamę pism. Ponieważ nie zdążyłam się jeszcze umyć ani zjeść śniadania, ani nawet się ubrać, nadam je południową pocztą, dzięki czemu trafią do redakcji prędzej, niż gdybym dostarczyła je sama. Potrzebowałam tylko kilku znaczków pocztowych.

Szukając ich, odsunęłam na bok papiery, które już przedtem mi zawadzały...

I nagle coś przykuło mój wzrok.

Lista, sporządzona... Boże, to naprawdę było dopiero wczoraj? Miałam wrażenie, że minął już bez mała tydzień.

*Jej przyzwoitki, pełne pychy i elegancko ubrane, wywodzą się prawdopodobnie z wyższych sfer.*

*Wydawało się, że sprawują nad nią rodzinną kuratelę.*

*Ubierały ją we wpadające w zieleń żółcie; czyżby wyznawały zasady estetyzmu?*

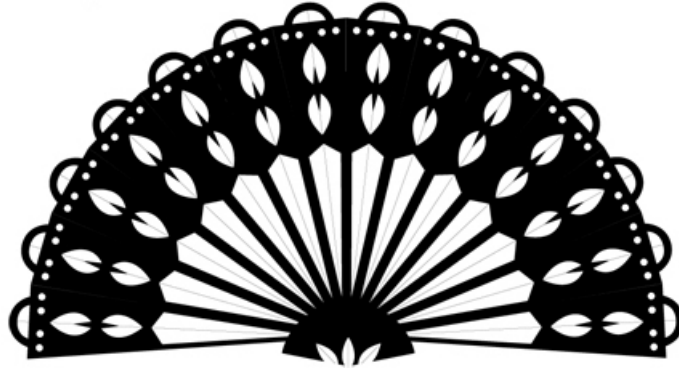
*Cecyli i jej eskorta odjechały dorożką o numerze \_\_\_\_\_.*

*Domyślałam się, że wachlarz był pamiątką po jakiejś „różowej herbatce” – czyżby tej u wicehrabiny Inglethorpe?*

Z wrażenia stanęłam pośrodku pokoju jak słup soli. A potem...

– A niech mnie kule biją! – wrzasnęłam, załamując ręce z rozpaczą nad własną głupotą. – Ależ ze mnie ofiara losu! – Jak mogłam zmarnotrawić cały poranek na roztrząsanie tego, co było i minęło? Muszę się natychmiast brać do roboty.

Wiedziałam, kto mógłby mi wskazać miejsce uwięzienia lady Cecyli.



## ROZDZIAŁ CZTERNASTY

Musiałam zachować nadzwyczajne środki ostrożności – czyli zadbać o najbardziej wymyślne przebranie, ponieważ zamierzałam się zapuścić tam, gdzie nie powinnam się pokazywać.

Tam, gdzie mogłam zostać rozpoznana.

Ale gdybym jednak mimo wszystko nie znalazła...

*Tylko bez gdybania, Enolu. Ubieraj się.*

Nie mów hop, zanim nie przeskoczysz. Miałam się upodobnić do wielkiej damy, co wymagało przywdziania koszulki i pantalonów z najcieńszego batystu, chroniących ciało przed gorsetem, a następnie wbicia się w rzeczony gorset (oczywiście niezbyt ciasno zasnurowany, za to wypełniony całym arsenałem poprawiaczy, uzdatniaczy i regulatorów, w których poupychałam przedmioty pierwszej potrzeby i które nadawały mi pożądaną kształt klepsydry), potem miękki kaftanik maskujący grube bawełniane płótno i stalowe fiszbiny, kilka jedwabnych halek, na to wszystko suknia spacerowa o barwie lapis-lazuli z plisowaną spódnicą i żakietem, odpowiednia na wizytę w sklepie, do tego dobrany pod kolor kapelusz, haftowana chusteczka, rękawiczki, getry i parasolka. Lekko licząc, piętnaście funtów garderoby, plus moje najlepsze botki.

Ale to jeszcze nie wszystko.

Nie wystarczy, że przebiorę się za damę. Muszę się przeistoczyć w *piękną* damę. Byłam pewna, że tylko w takim przebraniu nie zostanę rozpoznana jako Enola.

Musiałam więc zgarnąć włosy, które jak wiele innych cech mojego wyglądu zdradzały niestety pokrewieństwo z moim bratem Sherlockiem – były tej samej nieciekawej i nieokreślonej barwy kojarzącej się z korą drzewa. Musiałam zaczesać je do góry, przypiąć ściśle do czaszki i zakryć je luksusową peruką z kasztanowych włosów, do której przymocowałam za pomocą szpilek kapelusz. Czoło ozdobiły mi drobne loczki, *de rigueur*<sup>[81]</sup>, identyczne nosiła sama księżniczka Aleksandra. Użyłam całej gamy budzących zgorszenie substancji, nakładając je w możliwie subtelny sposób na wargi, policzki, powieki i rzęsy. Po wielu miesiącach praktyki, ale może także i dlatego, że w moich żyłach płynie krew Vernetów, potrafię – a przynajmniej mam taką właśnie nadzieję – umalować się tak, że sztuczne piękno jest odbierane jako dar samej natury.

I dopiero teraz byłam gotowa.

Zbliżała się trzecia, a ja do tej pory nie miałam jeszcze niczego w ustach, jednak szkoda mi było czasu na zaspokajanie potrzeb żołądka, ponieważ o tej porze miałam największe szanse – chociaż w gruncie rzeczy też znikome, zważywszy, że w Londynie zarejestrowano około dwudziestu tysięcy dorożek – na znalezienie tego, czego szukam. Klęłam na czym świat stoi swój jajowaty czerep, który nie był w stanie zapamiętać numeru fiakra, o który mi chodziło... Ale dorożkarze mieli zwyczaj czekać na pasażerów na tych samych postojach każdego dnia, więc postanowiłam rozpocząć swoje poszukiwania w tym samym miejscu i dokładnie o tej samej porze, w której widziałam go poprzednim razem.

Jedyną osobę, która mogła wiedzieć, gdzie jest teraz lady Cecily: woźnicę pojazdu, którym udała się z obstawą na zakupy, a potem – jak zakładałam – do domu.

Poszukam go w okolicach Umywalni dla Dam przy Oxford Street.

W miejscu, w którym na nieszczęście mógł mnie szukać mój brat Mycroft.

*Kroczył dostojnie – napominałam sama siebie, wysiadając z wynajętego pojazdu. – Drepcz naprzód, drobiąc kroczyki jak mała ptaszyna. Kręć parasolką. Jesteś przepiękną damą, która wyszła w paradnym stroju po sprawunki.*

I ruszyłam, płynąc z wdziękiem, niczym niebieska fregata wśród spowitych sadzą londyńskich odmetów. Żołnierze, panny kuchenne, urzędnicy i duchowni, ślepy żebrak prowadzony przez bosego chłopczyka, jednoręki starzec z dumnie przypiętym na piersi krzyżem Wiktorii, rozczochrana kobieta ze slumsów sprzedająca plastry na odciski, dżentelmeni uchylający na mój widok cylindrów, mali gazeciarze o twarzach obsypanych czerwonymi krostkami, obdarta dziewczynka ochrypla od zachwalania sprzedawanych jabłek, uczony z uwalanymi atramentem dłońmi, chudy, przygarbiony i skrzywiony pod ciężarem dźwiganych książek – ponury, acz wielobarwny tłum, przez który szłam jak przez polanę porośniętą stokrotkami.

Z pełną godności gracją podeszłam do postoju dorożek, przyglądając się poszczególnym pojazdom, w nadziei, że sprawiam wrażenie osoby rozglądającej się po świecie z należną klasie próżniaczej wyższością. Nie miałam zielonego pojęcia, w jaki sposób zidentyfikuję fiakra, którego szukałam. Nie widziałam twarzy dorożkarza, kształt pojazdu pamiętałam jak przez mgłę, a przecież wszystkie były niemal identyczne! Zabrałam papier i ołówek w nadziei, że podczas jazdy na miejsce uda mi się coś naszkicować, ale jedynym wyraźnym elementem rysunku był koń, który wyszedł mi całkiem udatnie – uwielbiam konie. No i co? Siedziałam w dorożce jak dziecko rysujące Czarnego Księcia. Doprawdy, Enolu... Zawiodłam się na sobie. Liczyłam jednak, że mimo wszystko uda mi się rozpoznać i pojazd, i konia.

Za dużo możliwości, zbyt wiele wątpliwości.

Patrzyłam na rząd zaprzęgów i żaden mi się z niczym nie kojarzył.

Natomiast bez trudu rozpoznałam stojących na chodniku, w których kierunku zmierzałam, dwóch dżentelmenów: moich braci, Mycrofta i Sherlocka.

Aż wstyd się przyznać, na ich widok opuściły mnie chwilowo władze umysłowe, a serce przestało bić. Zatrzymałam się.

I właśnie wtedy znów przyszedł mi z pomocą głos matki, który odezwał się echem w czeluściach mego umysłu. *Nonsense, Enolu. Doskonale sobie sama poradzisz.*

Słowa, które słyszałam od niej tak często i które wryły mi się trwale w pamięć, przywróciły mnie do moralnego pionu. Odzyskałam przytomność umysłu i ruszyłam naprzód.

Na całe szczęście zajęci nader ożywioną rozmową panowie nie zwrócili na mnie najmniejszej uwagi. Znajdowali się mniej więcej w tym samym miejscu, w którym niedawno spotkałam – i potraktowałam kopniakiem – Mycrofta. Zażywny jegomość, ubrany podobnie jak tamtego dnia, nie zdradzał jednak oznak świadczących o trwalszym uszczerbku na zdrowiu. Sherlock natomiast, mimo że miał na sobie nieskazitelny miejski garnitur, stał, opierając się ciężko na lasce, by odciążyć odzianą w but z miękkiego filcu lewą stopę.

Zrobiwszy wszystko, by poruszać się z gracją i swobodą, minęłam ich wolnym krokiem, z wysoko uniesioną głową, w zalotnie przekrzywionym kapeluszu, kręcąc lekko parasolką. Jasne niebieskie zjawisko wśród szarego tłumu – *wielka dama nadzwyczajnej urody, która pragnie ściągać na siebie ukradkowe i pełne podziwu spojrzenia całego świata* – a wszystko po to, żeby nie zwracać na siebie uwagi. Ironia losu: afiszować się po to, by pozostać niewidzialną. Wiedziałam jednak, że moi bracia gardzą płcią piękną i nie zaszczycać przechodzącego wzorca kobiecej urody dłuższym spojrzeniem.

I nie pomyliłam się. Kiedy ich mijałam, dotknęli automatycznym ruchem rond swoich kapeluszy, nie przerywając rozmowy:

– ...nie można tego dłużej tolerować – mówił Mycroft z właściwym sobie patosem. – Popełniłeś karygodne głupstwo, Sherlocku, pozwalając jej na beztrouski powrót do marszu ku zatracie.

– Mylisz się. Akurat beztrouski nie da się jej zarzucić.

Coś takiego... Więc jednak dostrzegł moją rozterkę. Chociaż nie dowiedziałam się, o co Sherlockowi chodziło, ponieważ oddaliłam się od rozmówców, maszerując „ku zatracie”.

Przywołałam się w myślach do porządku: mam się skupić na bieżącej misji, czyli ustaleniu, która z dorożek uwiozła lady Cecily w nieznaną.

A jednak wciąż żaden z pojazdów nie budził we mnie żadnych skojarzeń.

Doszedłszy niemal do końca długiej kolejki zaprzęgów, zniknęłam z pola widzenia braci. Przystanąłam, nabrałam powietrza w płuca i skupiłam całą swoją uwagę na dorożkach. Niestety, znów bez zadowalających rezultatów, poza tym, że jeden z koni obdarzył mnie pokornym, powłóczytym spojrzeniem.

Wielki, łagodny gniadosz. Pod wpływem impulsu – bo już od dawna nie spotkałam się z tak bezinteresownym i szczerym pozdrowieniem – podeszłam bliżej i pogłaskałam go po pysku dłonią w jedwabnej rękawiczce. Zwierzak wydał aprobowane i pachnące sianem prychnięcie, po czym spuścił łeb, żebym mogła go pogładzić po grzywie.

Siedzący na koźle woźnica odłożył na bok lekturę – zdaje się, że była to ilustrowana kronika kryminalna – i obrzucił mnie pytającym spojrzeniem.

– Cóż za przemiły konik – zauważyłam, rozkoszując się tym, że mogę się swobodnie wysławiać, nie kryjąc arystokratycznego akcentu. – Tak przyjaźnie usposobiony. I zapewne posłuszny, czyż nie?

– O tak, łaskawa pani. A do tego bestyjka robotna i łatwa w utrzymaniu. – Zachęcony nieoczekiwanym zainteresowaniem pochylił się w moją stronę. – Lepszego konika nie miałem. To prawdziwy skarb dla człeka, co robi na własny rachunek.

Oznaczało to mniej więcej tyle, że świadczył usługi jako właściciel zarówno konia, jak i pojazdu, a nie wynajęty przez firmę dorożkarską woźnica. Ale chociaż cały dochód zachowywał dla siebie, sporo ryzykował: słabowity koń mógłby go doprowadzić do ruiny. Gładząc czarną grzywę gniadosza, pokiwałam głową.

– Jest krzepki jak rzepa, prawda? Jak się nazywa? – spytałam.

– To, łaskawa pani, klaczka, a zwie się Milusia.

Uśmiechnęłam się jeszcze szerzej. Milusia parsknęła cichutko i zaczęła obwąchiwać mi spódnicę, jakby szukała ukrytego w kieszeni smakołyku.

– Zna się wielmożna pani na konikach jak mało kto, pozwolę sobie zauważyć – dodał dorożkarz. – Większość dam wybiera fikuśne powozy zaprzężone w hackneye.

– Tak, widziałam niedawno taki. – Eureka! Wystarczyła chwila beztróskiego odprężenia i wróciła mi pamięć! – Olbrzymia czterokołowa landara wypucowana na błysk – mówiłam z nieudawanym, wyraźnym niesmakiem. – Tyle że nie ciągnął jej hackney, ale jakiś wypieszczony koń o pięknej głowie, z lekką pianą na pysku, karej maści, ze szcotkami przy pęcinach jak u clydesdayle’a...

– A tak, znam, chodzi toto, wysoko unosząc kopyta. Szkoda na takie fanaberie czasu i atlasu, jeśli o mnie idzie. To Paddy Murphy i jego Cygan.

– Co pan powie? – Poklepawszy po raz ostatni Milusię, przeszłam parę kroków i wsiałam do dorożki, wręczając mojemu rozmówcy pokąsną sumkę, by uciszyć jego wątpliwości i ewentualne pytania. – Czy mógłby mi pan odszukać tego całego Murphy’ego? Muszę się z nim rozmówić.

– A pewnie, jak mi Bóg miły, rychtyczek, że je pamiętam – powiedział odszukany dorożkarz, zanim jeszcze zdążyłam opisać do końca kruchą dziewczynę w ciasnej cytrynowej sukni i jej dwie przyzwoitki. Zagadnięty przedtem dryndziarz bez większego trudu odszukał Paddy’ego Murphy’ego na dziedzińcu stajennym przy Serpentine Mews<sup>[9]</sup>. Zastaliśmy go siedzącego na beli słomy z kuflem piwa w ręku. Miał przy sobie kartonowe pudło i pobierał od kolegów po fachu pensa za możliwość obejrzenia jego tajemniczej zawartości. Odstawił je, kiedy tylko nas spostrzegł, zerwał się na nogi i uchylił czapki. Po chwili ścisnął podarowanego mu przeze mnie szylinga i gadał z prawdziwie irlandzką swadą.

– Choćby tylko dlatego, że te dwie szantrapy... Wielmożna pani wybaczy wyrażenie, te dwie jaśnie panie... orznęły mnie na zapłacie, chociaż żem je woził to tu, to tam przez całe boże popołudnie.

– „Tu i tam”, czyli konkretnie dokąd?

– A nie ma pewnie w całym mieście takiego składu płóciennego, któregośmy nie odwiedzili. Jeździliśmy w tę i we w tę, od ulicy do ulicy. Paniusie oglądały sobie wystawy, to znaczy jedna z nich wysiadała połączyć, a druga zostawała w dorożce z tą zahukaną młódką, której pilnowały jak oka

w głowie. Od czasu do czasu obie wysiadały i ciągnęły biedulę do jakiegoś sklepu bławatnego czy innego, a ja sterczałem, blokując przejazd, i słuchałem, jak inni woźnice wyzywają mnie i moich przodków od ostatnich, a potem znów zatrzymywaliśmy cały ruch na ulicy, a stójkowy wydierał gębę, że pozbawi mnie uprawnień, a ja cały czas liczyłem w duchu na sowitą zapłatę...

Dorożkarz, który mnie przywiózł, trwał u mego boku, wzięwszy na siebie rolę mojego towarzysza i strażnika. A ja słuchałam z zaciekawieniem, mimo że coraz bardziej się niecierpliwiłam (ufam, że potrafiłam to ukryć, ponieważ nie ma siły, która zmusiłaby Irlandczyka do skrócenia opowieści). Tak bardzo chciałam się już dowiedzieć, gdzie lady Cecily zakończyła swoją podróż.

– ...choć wolałbym jej wcale nie dostać, gdybym miał jeszcze raz znosić takie babskie fanaberie – ciągnął niestrudzenie Paddy Murphy – ale nie mogłem nic poradzić, bo ta biedna mała gołąbeczka ledwo łąziła. I nie żebym śmiał oceniać lepiej urodzonych, ale zauważyłem, że te dwie damulki nie były dla niej miłe, chociaż nie powinno mnie to obchodzić.

– Bardzo mnie cieszy to, że pana obeszło – wtrąciłam, dyskretnie ukazując mu materialny dowód mojej aprobaty: jednofuntowy banknot, który może stać się jego własnością w zamian za konkrety. – Proszę mówić dalej. Gdzie zakończyła się ich trasa? – Ach, jak bardzo chciałam wiedzieć, gdzie panie Aguilla i Otelia ukrywały Cecily. – Czy zatrzymały się w którymś z hoteli?

– Ale gdzie tam, moja miła pani. Zawiozłem je razem z ichniami sprawunkami w miejsce o nazwie Inglethorpe.

Skromne domostwo wicehrabiny Otelii. Żegnaj, nadziejo.

– Te dwie herod-baby, znaczy się – dodał mój czerwonolicy informator. – Ale przedtem zatrzymaliśmy się przy krypie, gdzie zostawiły tę biedną chudzinę.

– Przy czym?

– A tak, to najdziwniejsza część całej tej awantury. Kazały mi się zatrzymać przy zacumowanej na Tamizie krypie, a potem przyjeźli dwaj marynarze w płaskich czapkach i zabrali małą.

Ach, chodzi o *łódź*, dotarło do mnie z opóźnieniem.

– Dokąd ją zabrali?

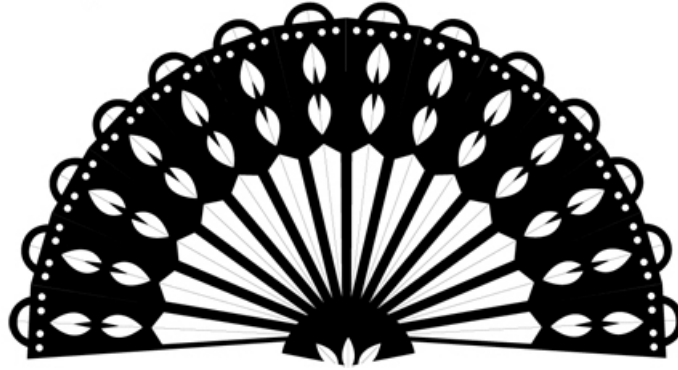
– No jakże, do tej krypy na rzece, pani. Więcej nic nie widziałem.

Chciałam tupnąć nogą, przewrócić oczyma, wybuchnąć płaczem. Jakby ktoś mnie wyrzwał deską w głowę!

Ale może jednak była to ostatnia deska ratunku? Nie poddam się tak łatwo.

Poczułam się jak tonący, gotów się chwycić nawet brzytwy.

– Proszę mi wskazać to miejsce – zażądałam. – Niech mnie pan zawiezie tam, gdzie ją pan wysadził.



## ROZDZIAŁ PIĘTNASTY

Pół godziny później stałam już u wejścia na zapyziały nieduży pirs, krzywiąc nos na unoszący się z wód Tamizy smrodek. Rozglądałam się, szukając – kogo? Cecily Alistair? Tutaj? Okolica była jeszcze bardziej odpychająca niż zakazana dzielnica, w której ją poprzednio odszukałam. Przy brzegu kłębiły się chmary obdartych dzieciaków, zwanych potocznie „błotnymi nurkami”, grzebiące w rzeczonym mule w poszukiwaniu resztek kości, drewna i metalu. Grupki wytatuowanych mężczyzn wchodziły i wychodziły z zapyziałych budyneków z cegły, na których wisiały szyldy „Trawlers sp. z o.o.”, „Linie Syjam, Burma, Orient” albo „Barki do wynajęcia”. Parostatki i żaglowce o smukłych masztach oraz niezliczone pomniejsze jednostki walczyły o pierwszeństwo na zatłoczonej rzece, a nad tym wszystkim górowało wysokie ramię pogłębiarki. Raz po raz rozlegał się ryk jej syreny ostrzegawczej, której wtórowały marynarskie przekleństwa, pisk małych poszukiwaczy skarbów i skrzeczenie krążących nad ich głowami mew. Usiłowałam objąć to wszystko wzrokiem i czułam, że coraz bardziej ściska mi się serce.

Rozglądając się rozpaczliwie w poszukiwaniu ostatniej deski ratunku, spytałam siedzącego obok mnie podpitego dorożkarza:

- Czy naprawdę *widział* ją pan na wiosłowej łódce?
- No pewnie!

No i pewnie zabrali ją na jakąś barkę mieszkalną lub inną podobną jednostkę, mającą tę wyższość nad hotelem, że z dnia na dzień mogła bez przeszkód zmienić miejsce cumowania. Diabelnie sprytnie posunięcie, zapewniające niemal całkowitą nieuchwytność.

Brnęłam jednak dalej.

- W którą odplynęli stronę? – mruknęłam.

Wskazał paluchem w górę rzeki. Rzuciłam w tamtym kierunku okiem i już miałam uznać swą porażkę i odwrócić głowę, kiedy mój wzrok przykuło coś biało nakrapianego. Wyprostowałam się i dostrzegłam w oddali przemieszczające się gęsiego postacie odziane w perkalowe ubrania w tabaczkową kratkę.

Wyrwana z gnuśnego poczucia beznadziei, odwróciłam się w tamtą stronę jak pointer, który wystawia ptactwo.

- Czy jest w tej okolicy jakiś sierociniec?

Odpowiedział twierdząco i wskazał palcem na przybrudzony zielony mansardowy dach górujący nad resztą, oddalony o jakiś kwartał od nas. W mojej głowie rozwrzeszczały się natychmiast, niczym stadko mew, wspomnienia, podejrzania i domysły. Jedna myśl usiłowała przekrzyczeć drugą: dziewczynki z obciętymi krótko włosami drepczące za człowiekiem Haha (czy jak mu tam, baronem Dagobertem Merganserem), po domu jego szwagierki, dlaczego nie po jego własnym? Może nie chciał, by się dowiedziały, kim jest naprawdę? No i dlaczego przestawał z sierotami? Nie sprawiał wrażenia człowieka parającego się działalnością dobroczynną. I czemu zjawił się w tak niebezpiecznym czasie, kiedy trzymał pod kluczem swoją zamożną bratanicę, by zmusić ją do poślubienia swojego synalka?

*...ma się odbyć w jakiejś położonej na pustkowiu kaplicy.*



Och... O wielkie nieba... *Czy w sierocińcach są kaplice?*

Wydawało się to dość prawdopodobne, ale pewności nie miałam. Że też nie zadbałam o zbadanie sprawy przedtem, przecież może się okazać, że bliskość pirsu na Tamizie i przytułku dla osieroconych dziewcząt jest dziełem przypadku; co więcej sieroty, które widziałam u baronostwa Inglethorpe'ów mogły być podopiecznymi zupełnie innej instytucji, a ich obecność nie miała najmniejszego związku z całą sprawą, i tak dalej, i dalej...

A jednak, jak powiedziała by zapewne mój brat Sherlock, było w tym skojarzeniu coś sugestywnego, prawda? Pojawiła się kolejna szansa, jednak nie było już czasu na dalsze dywagacje i wahania: nieszczęsna lady Cecyli miała stanąć pod przymusem na ślubnym kobiercu *następnego ranka*.

Sytuacja wymagała podjęcia nadzwyczajnych kroków.

Dwie godziny później, maszerując w stronę Przytułku dla Podrzutków i Znajd Witherspoon, wypatrywałam szczegółów, które mogłyby świadczyć o istnieniu kaplicy, rozglądałam się za witrażowym oknem – jednak moim oczom jawiła się jedynie górna część nad wyraz zwyczajnego dwupiętrowego budynku wzniesionego z łączonego zaprawą kamienia i otoczonego drewnianym parkanem o sztachetach zbitych tak ciasno, że nie sposób było znaleźć między nimi najmniejszego prześwitu pozwalającego zajrzeć na dziedziniec. Dzielili mnie od niego wyjątkowo szpetna i niedostępna bariera.

W tamtej chwili byłam już autentycznie bliska łez.

I był to stan ze wszech miar pożądany, ponieważ zjawiłam się tam w przebraniu sierotki. Nieco przerośniętej, ale jednak sierotki. W związku z tym, że musiałam udawać istotę chudą jak szczapa, wręcz zagłodzoną, pozbyłam się przed wyjściem z domu wszystkich swoich uzdatniaczy, wypełniaczy i regulatorów – co było nader ryzykowną decyzją, gdyż musiałam się rozstać z moim bezpiecznym pancerzem – gorsetem – sztyletem i większością przydatnych rzeczy, które zazwyczaj ze sobą nosiłam. Poupychałam po kieszeniach jedynie to, co najniezbędniejsze.

Nie wzięłam nic do jedzenia, a ponieważ nie znalazłam wcześniej wolnej chwili na spożycie posiłku, mój żołądek zawodził głośno z głodu, a ja sama słaśniałam się na nogach. I bardzo mnie to cieszyło, bo w tym stanie z pewnością mogłam wypaść w swojej nowej roli bardziej wiarygodnie. Za pomocą mieszaniny octu z mydłem nadałam cerze blady i lekko kostropaty wygląd, a dzięki umiejętności rozprowadzonej na skórze sady z lampy moje oczy i policzki sprawiały wrażenie chorobliwie zapadniętych. Nieciekawe włosy, którymi obdarzyła mnie natura, rozpuściłam i splątałam, pogłębiając efekt przynależności do kasty obdartusów, zwłaszcza po natarciu zaimprovizowanej fryzury i odsłoniętych części ciała popiołem węglowym. Miałam na sobie nędzne i brudne ubranie godne „śmieciuchy”, zwisające smętnie z moich chuderlawych ramion. Posunęłam się nawet do tego, by w kilku miejscach porozdzierać materiał. Bose stopy owinęłam gałganami. Na głowę wcisnęłam znaleziony na ulicy męski melonik, stratowany przez konie, który opadał mi prawie na oczy. Młociana żebraczka wykorzysta każde nakrycie głowy, byle tylko trochę ją ogrzać i osłonić. Ostateczny efekt moich przygotowań był w mojej ocenie całkiem wiarygodny.

Podobnie jak moje wahanie. Postronny obserwator zobaczyłby we mnie wynędzniałą nieletnią żebraczkę, która zbiera całą swoją odwagę, by zapuścić się w głąb zagrodzonego i nieprzyjaznego świata, nie będąc jeszcze do końca przekonaną, czy warto prehandlować swoją zagłodzoną wolność za podłą strawę, ostrzyżoną głowę, niewdzięczną pracę i posłuszeństwo. Nikomu nie przyszłoby do głowy, że targana wątpliwościami nędzarka to w istocie aspirująca perdytorystka, która rozważa, czy naprawdę opłaci jej się ryzyko nawiązania kontaktu z bratem.

I w końcu, przedreptawszy kilka razy wokół sierocińca i zdobywszy pewność, że prowadzi do niego tylko jedno wejście, wycofałam się.

Ale tylko na krótką chwilę, konieczną do skreślenia na kartce paru słów, z których biła pewność siebie o niebo większa niż ta, którą rzeczywiście odczuwałam:

*Sherlocku,*

*na krótką chwilę przed farsą zaślubin C.A. podejmie próbę opuszczenia sierocińca Witherspoon przy Huxtable Lane 472. W ręku będzie miała różowy wachlarz. Czeka na nią przy bramie; od tamtej*

*chwili przejmiesz nad nią pieczę.*

*E.H.*

Z trudnością opanowując drżenie, złożyłam kartkę na troje i wpisałam na pustej stronie adres „Baker Street 221B”. Instynktownie czułam, że nie powinnam stwarzać bratu możliwości ustalenia, gdzie obecnie przebywam. Z całą pewnością uda mu się wybadać, skąd wysłałam do niego wiadomość, choć niczego nie zmieni, ponieważ dawno mnie już tam nie będzie. Jeśli weźmie posłańca na spytki, dowie się jedynie, iż przebrałam się za żebraczkę. Ale nie mogę wykluczyć sytuacji, w której zjawi się tu o świcie z zamiarem odbicia lady Cecyli i wciągnięcia mnie przy okazji w pułapkę. Co robić?

Nie miałam jednak wyboru. W cenę uratowania nieszczęśliwej dziewczyny wpisane jest ryzyko zdemaskowania.

Przekazałam wiadomość licencjonowanemu posłańcowi. Zdziwił się wprawdzie, że tak zabiedzona istota nie dość, że włada umiejętnością pisania, to jeszcze wręcza mu sowitą zapłatę. Ale chcąc mieć pewność, że liścik trafi do adresata, wołałam powierzyć go osobie wyznającej jakąś etykę zawodową.

Ponieważ nie było już czasu na dalsze rozterki, ruszyłam chwiejnym krokiem w stronę sierocińca. Szłam na ugiętych pod szmatławą spódnicą nogach, pragnąc sprawić wrażenie osoby o głowę niższej i okaleczonej przez krzywicę. Kiedy znalazłam się przy bramie przytułku Witherspoon, przyłożyłam do oczu gałganek z zawiniętym w środku kawałkiem cebuli, pobudzając oczy do łzawienia, i zakolałam.

– Imię? – spytała wyjątkowo nieurodziwa nadzorczyńni, zasiadłszy za zupełnie niepasującym do siebie biurkiem, by wypełnić w moim imieniu kwestionariusz.

– Peggy, psze pani. – Stojąc przed nią, musiałam cały czas pamiętać o uginaniu kolan. Z wysiłku kiwałam się lekko na boki. Świetnie.

– Nazwisko?

– Nie mam, wołają mnie Peggy i nic więcej, psze pani.

– Rodzice?

– Nie mam o nich zielonego pojęcia, psze pani – dukałam, siąkając nosem i starając się mówić najczystszy cockneyem, na jaki było mnie stać. Wyrośniętemu podlotkowi trudniej wzbudzać w bliźnich litość niż dziecku, postanowiłam więc zagrać dziewczynę mazgajową i mocno nierozgarniętą.

Kobieta westchnęła i zaznaczyła kratkę: *Z nieprawego łóża*. Nie dała jednak do końca za wygraną.

– Data i miejsce urodzenia? – spytała.

– A bo ja wiem, psze pani?

– Chrzest?

– A co to za licho, psze pani?

– Czy zostałaś ochrzczona?

– A skąd miałabym to wiedzieć, psze pani? – W moim głosie zabrzmiały łzy, a żołądek zaburczał głośno do wtóru.

Przełożona spojrzała na mnie, po czym potrząsnęła stojącym na biurku chińskim dzwoneczkiem. Jego kształt (gdyby uciąć mu rączkę) odwzorowywał w miniaturze jej monumentalny biały czepiec.

Na wezwanie stawiała się po chwili nieduża dziewczuszka o typowym dla tej ponurej instytucji wyglądzie: miała zaciętą, pozbawioną uśmiechu twarz, krótko ostrzyżoną głowę, tabaczkowy fartuch w kratkę i jeszcze brzydszą burą sukienkę.

– Tak, proszę pani?

– Przynieś chleba i herbaty, dziecko.

– Tak, proszę pani.

– Usiądź, Peggy. – Opiekunka zwróciła się ponownie do mnie miłym tonem. – Czy przebywałaś kiedykolwiek w areszcie?

– A co to niby znaczy, psze pani?

– Czy zamknęli cię w więzieniu za jakieś przewinienie?

I tak dalej, i dalej. Siedziałam, trzęsąc się ze zdenerwowania i głodu, roniąc co jakiś czas łezkę, pałaszując (z autentycznym zapalem) chleb bez omasty, popijając go słabą herbatą, a zacna niewiasta utwierdzała się w przekonaniu, że mój kontakt ze szkołą był znikomy albo żaden, że nie uczęszczałam do szkoły niedzielnej, że nie posiadam żadnych środków, że nie mam krewnych ani przyjaciół, którzy moglibyłożyć na moje utrzymanie, że nie otrzymałam żadnego wsparcia ze strony parafii i że nie chorowałam jeszcze na skrofuły, szkarlatynę, koklusz ani ospę.

– Trzęsionka?

– Nie, psze pani.

– Nietrzymanie moczu?

– Że jak, psze pani?

Wydęła cienkie wargi, po czym z wyraźnym obrzydzeniem przymusiła się do sformułowania pytania w zrozumialszej formie.

– Czy sikasz do łóżka?

– No skąd, psze pani!

– Doskonale, droga... – rzuciła szybko okiem na wypełniony przez siebie formularz – ...Peggy. –

Odłożywszy pióro, ponownie potrząsnęła dzwoneczkiem. Tym razem zjawiała się dziewczyna w mniej więcej moim wieku z naręczem ubrań, z których większość uszyto z perkalu w tabaczkową kratkę. – Już się chyba najadłaś. Teraz udasz się z tą młodą kobietą do pomieszczenia, w którym weźmiesz kąpiel. Za jakiś czas zajrzę tam, żeby sprawdzić, czy nie masz jakichś wyprysków czy pasożytów, a potem obetnę ci włosy.

Na tę chwilę czekałam.

– Obetniecie mi włosy? – Wstałam chwiejnie, wybałuszając oczy. – Nie dam ich ściąć, psze pani.

– Musisz, jeśli chcesz tu zostać, dziecko.

– Ale, psze pani...

– Czy zależy ci na tym, żeby mieć co jeść, w co się ubrać i czegoś się nauczyć? Jeśli tak, to musisz dla higieny nosić krótkie włosy. I zaszczepimy cię przeciw ospie.

– Znaczy się... mają mnie dziubać igłą, psze pani? – Mogłam teraz bez obaw odegrać godną teatru scenę przerażenia, ponieważ każdy nędzarz śmiertelnie bał się szczepień. Wykorzystałam to w pełni. – Ani myślę dać wam wpuścić we mnie trutkę!

– Nonsens. To nie jest trucizna i nie powinnaś się bać małego ukłucia. Każda z dziewcząt została tu zaszczepiona.

Jej suchy i drwiący ton stał się dla mnie doskonałym pretekstem do jeszcze głośniejszego biadolenia.

– Ale ja się nie dam pokłuć, psze pani!

– W takim razie wracaj na ulicę.

– Nie, psze pani, błagam, jestem taka głodna.

– A zatem, jeśli chcesz zostać, dostosujesz się do moich poleceń. Wybieraj.

W udawanym, pełnym niezdecydowania popłochu uniosłam błagalnie złożone ręce.

– Ale ja nie wiem, co wybrać! Muszę się pomodlić! Kilka minut i może Bozia mnie oświeci. Czy jest tu jakaś kaplica?

Zmierzyła mnie podejrzliwym spojrzeniem, ale nie mogła mi odmówić w obliczu tak nagłego przypływu pobożności, tym bardziej że rozmowie przysłuchiwała się „młoda kobieta” – wymizerowana, cichutka i z pewnością zmuszana kilka razy dziennie do modłów.

– Doskonale – mruknęła kobieta, spoglądając w jej stronę. – Zaprowadzisz ją do kaplicy...

*Eureka!*

– ...a potem wrócisz do swoich obowiązków. Za kilka minut sama po nią przyjdę.

Kilka minut. W zupełności mi to wystarczy.

Kiedy apatyczna „sierotka do wszystkiego” doprowadziła mnie do kaplicy – ciemnej salki będącej dobudówką do głównego budynku – i gdy zamknęły się za nią wiodące do świątyni drzwi,

wyskoczyłam z ławki, chwyciłam stertę ubrań, które dziewczyna położyła obok mnie, i rozejrzałam się za kryjówką. W samą porę przycupnęłam za kazalnica, bo zaraz potem usłyszałam skrzypnięcie drzwi i kroki nadzorczyńni.

– Dziecko! – zawołała. – *Dziecko?! –* Po krótkiej chwili, potrzebnej jej zapewne do ponownego zajrzenia w papiery, zawołała mnie po imieniu: – Peggy, natychmiast się tu pokaż.

Czego, oczywiście, nie zrobiłam.

Usłyszałam, jak mamrocze pod nosem:

– Dokąd to głupie dziewczysko polazło? – Znów skrzypnęły drzwi i zaafierowana kobieta wyszła z powrotem na korytarz. Wykorzystałam tę chwilę, by poszukać sobie lepszej kryjówki, na wypadek gdyby zarządzono dokładniejsze poszukiwania. Już dawno zaobserwowałam, że osoby bawiące się w chowanego mają tendencję do zaglądania pod meble i sprzęty, natomiast mało który z graczy spogląda w górę. Pamiętałam też o swoich zdolnościach do wspinaczki. Zestawienie tych dwóch faktów przekonało mnie, że trzeba się ukryć w wyższych partiach kaplicy. Bez większego trudu wdrapałam się na kunsztownie rzeźbioną szafę organową, rzuciłam w górę podarowane mi przez sierociniec ubrania (związawszy je uprzednio w poręczny tłumoczek), po czym sama się tam podciągnęłam. Góra wielkiej skrzyni była otwarta, jednak w celu uchronienia piszczałek przed kurzem rozpięto na niej mocny brezent. Po chwili wisiałam na nim pod sufitem jak w hamaku, otoczona ze wszystkich stron fikuśnie rzeźbionymi wysokimi zwieńczeniami. Umościłam się tam w miarę bezpiecznie i ze wszech miar wygodnie, kiedy do kaplicy wkroczyła nadzorczyńni, by w towarzystwie kilku innych osób przeprowadzić ponowną inspekcję.

Niewiele widziałam, ale za to świetnie słyszałam ich krzątanie.

– Widać strach ją obleciał i uciekła.

– Towheedle nie widział jej przy bramie.

– Pewnie znowu uciał sobie drzemkę, bo jak inaczej mogłaby się wymknąć? Tutaj jej nie ma.

– A może błąka się gdzieś po korytarzach? Nie jest szczególnie bystra.

– Zwabi ją zapach jedzenia, zapewniam was.

– No to niech ktoś stanie na warcie w kuchni.

– W kaplicy z całą pewnością jej nie ma. – Stały niemalże pode mną. – Musimy polecić wszystkim, żeby bacznie jej wypatrywali...

– Ładne kwiatki – westchnęła jedna z pań i dodała zbolalym tonem: – I to akurat tego wieczoru, kiedy czeka nas jeszcze tyle przygotowań przed jutrzejszym.

Moje zaciekawienie sięgnęło zenitu.

– Że też się uparli urządzić tu ślub.

*Mowa o lady Cecily, nie ma innej możliwości, na pewno o nią chodzi, bosko!*

W duchu nie posiadałam się z radości. Narzekająca kobieta chciała coś dodać.

– Co za dziwaczne...

– Nie powinnyśmy zadawać pytań – ofuknęła ją jedna z towarzyszek. – Baron obiecał szczerze nas wesprzeć, i to nie tylko finansowo.

Oferując takie „atrakcje” jak wizyty w „jego” posiadłości.

– Pokój na poddaszu jeszcze niewysprzątany – ciągnęła malkontentka – i nie wniesiono tu jeszcze kwiatów.

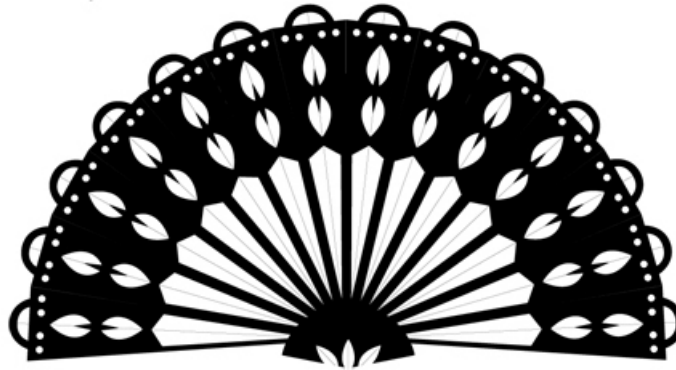
– No to do roboty, nie traćmy czasu.

Drzwi ponownie skrzypnęły.

– Zguba na pewno się znajdzie.

– Boże, wybac mi te słowa, ale mam nadzieję, że nie – rozpoznałam głos kobiety, która rozmawiała ze mną w biurze. Opuszczając kaplicę, podsumowała mnie w krótkich słowach: – To doprawdy odrażający wycieruch, którego wstyd byłoby pokazać jaśnie panu baronowi.

*Oho –* pomyślałam, czując, że pod wpływem rozbawienia uchodzi ze mnie napięcie. *Nawet nie wie, jak się myli.*



## ROZDZIAŁ SZESNASTY

Leżąc w bezpiecznym gniazdku pod sufitem, zapadłam w błogi sen. Byłam najedzona i nie miałam nic do roboty, poza czekaniem, aż podrzutki i znajdy (ciekawe, jaka jest między nimi różnica) oraz ich opiekunki w dzwonowatych czepcach udadzą się na nocny spoczynek.

Obudziło mnie wieczorne nabożeństwo. Ba,omal nie pozbawiło słuchu, mimo że z miejsca zatkałam sobie uszy palcami. Każda cząstka mojego ciała wpadła w silne wibracje. Wstrząsające przeżycie, tym bardziej że po zakończonych modłach organistka stwierdziła, iż z instrumentem dzieje się chyba coś podejrzanego, ponieważ wydobywające się z niego dźwięki są dziwnie przyduszone. Przeleżałam w kryjówce kolejną godzinę, ale ponieważ nic się nie działo, a dzwonienie w uszach zaczęło powoli ustępować, powoli i cichutko zlazłam z organów, wymacując sobie drogę w egipskich ciemnościach.

Przedtem jednak ściągnęłam z siebie łąchmany i zostawiłam je na górze. Działalam według przemyślanego ze szczegółami planu i miałam pod spodem prostą muślinową sukienkę. Zeszłam na dół, zabierając ze sobą zawiniątko z sierocymi ubraniami. Dotknąwszy stopami ziemi, ruszyłam na oślep w stronę ołtarza, potykając się co chwilę i objając. Musiałam zapalić chociaż kilka świec.

Przyznam, że choć jestem zdeklarowaną wolnomyślicielką i racjonalistką, czułam się trochę nieswojo, sięgając bezceremonialnie po przedmioty kultu. Jeszcze większe zażenowanie towarzyszyło mi podczas obmywania twarzy i rąk wodą ze chrzcielnicy. Doprawdy, jest coś onieśmielającego w spowitych nocnym mrokiem wnętrzach świątyń. Kiedy więc upięłam włosy w koczek i usunęłam z siebie wszelkie oznaki przynależności do klasy „podrutzków”, poczułam nieodpartą potrzebę zmiany dekoracji.

Tym bardziej że chciałam odszukać wspomniany „pokój na poddaszu”, przyszykowany na potrzeby barona.

Domyślałam się, że lady Cecily Alistair zostanie przemycona z łódki do sierocińca ukradkiem, być może krótko przed świtem. Biedaczka miała zostać poślubiona ropuchowatemu Bramwellowi Merganserowi wbrew własnej woli, więc ceremonia odbędzie się w tajemnicy przed światem. Zwyczajowo oblubienice z wyższych sfer dowożono pod kościół w karetach. A może spiskowcy ponownie przebiorą chłopca stajennego w damską suknię? Raczej nie, ponieważ taka ostentacja wzbudziłaby niepotrzebne komentarze i domysły. Baronostwo Merganser z pewnością wolało przeprowadzić swój niecny plan, nie afiszując się publicznie. Dopiero później postawią krewnych i znajomych przed faktem dokonanym.

Mimo to nie potrafiłam uwierzyć, że tak dumni arystokraci zrezygnują ze zwyczajowego przepychu towarzyszącego wielkopańskim zaślubinom. *Panna młoda musi mieć wyprawę i będziesz ją miała.* Biedna Cecily. Z całą pewnością Aquilla i Otelia zmuszą ją do odegrania roli spłonionej panny młodej w olśniewającej białej sukni.

*Przesłanka: Każą jej wystąpić w sukni ślubnej.*

*Przesłanka: Roztropność nie pozwala przewieźć jej do sierocińca w weselnym stroju.*

*Wniosek: Przebiorą ją in situ<sup>[10]</sup>.*

I tu się wyjaśnia przeznaczenie pokoju na poddaszu. Bo do jakiego innego celu miałyby służyć? Prawdopodobnie pozostałe pomieszczenia budynku zajmowały podruzutki czy też znajdy – jak zwał, tak zwał – a panna młoda ma w takim dniu prawo do prywatności.

Zwłaszcza jeśli nie uśmiecha jej się to, że nią zostanie.

A zatem w chwili, kiedy do pokoju na poddaszu przybędzie Cecily Alistair, by przywdziać ślubne szatki, muszę tam już być i czekać na nią w ukryciu.

Wymknęłam się z kaplicy i zaczęłam iść przez korytarze oświetlone nikłym światłem zmniejszonych na noc płomieni lamp gazowych. Nagle w bardzo bliskiej odległości usłyszałam energiczne kroki którejs z opiekunek, a potem cichy głos besztający jakąś zbłąkaną sierotkę:

– Dlaczego jeszcze nie leżysz w łóżku?

Ojej. Wygląda na to, że przytułek nigdy nie zapada w prawdziwy sen. Co za szczęście, że minionego lata, chcąc przechytryć Mycrofta, nabrałam wielkiej wprawy w bezszelestnym przemieszczaniu się bez butów. Szybciutko i cichutko oddaliłam się od nadzorczyń i jej ofiary, odszukałam schody, weszłam na pierwsze piętro, potem na drugie i – eureka! W ciemnościach pokonałam kolejne, o wiele węższe schody. Z całą pewnością prowadziły na poddasze.

Oczywiście strzeżone przez zamknięte na klucz drzwi.

Na szczęście zamek był staroświecki i niezbyt skomplikowany, a ja miałam umiejętności godne włamywaczki. Po chwili blokada ustąpiła i znalazłam się za drzwiami. Zamknęłam je z powrotem i z uczuciem niejakiego triumfu zapaliłam zabraną z kaplicy świeczkę. Uniosłam ją i zobaczyłam...

Kufry podróżne, pustą klatkę dla ptaków, drewniane konie z połamanymi biegunami i tym podobne rupiecie pokryte warstwą grubego kurzu.

Przez krótką, okropną i paraliżującą chwilę nie byłam w stanie pojąć, jakim cudem mogłam popełnić tak straszliwy błąd. Już nie pierwszy raz moje pozornie logiczne rozumowanie zawiodło mnie w ślepy, bardzo ślepy zaułek. Przecież to oczywiste, że jestem tylko głupią babą niezdolną do...

*Nonsens, Enolu. Myśl.*

I ponownie zaprzęgam rozum do pracy. Dotarło do mnie, że w tak wielkim gmaszysku jest miejsce na niejedno poddasze. Trzeba podjąć kolejną próbę i tyle.

Tak też uczyniłam i koniec końców trafiłam tam, gdzie chciałam. Oszczędzę łaskawemu czytelnikowi opisu kilkugodzinnych poszukiwań i sytuacji groźących wpadką. Powiem tylko, że tuż przed świtem, ku swojej wielkiej uldze, znalazłam się w pomieszczeniu, do którego zamierzałam dotrzeć: w wysprzątanym, wypucowanym, lśniącem pokoju na poddaszu, w którym stały toaletka, okazałe tremo i kilka krzesel.

I w którym zwieszał się z belki na suficie jakiś upiorny biały kształt sięgający równie białej podłogi.

Była to suknia ślubna, zawinięta dla bezpieczeństwa w białą płachtę. Olśniewająca przepychem i zdobna w długi na dziewięć stóp tren z naszywanej kryształkami koronki.

Nieopodal wisiał równie kunsztownie haftowany przezroczystymi paciorkami stroik z równie długim i lekkim jak obłok welonem.

Na podłodze zaś stała najprzedziwniejsza para białych butów. Były to zgrabne pantofelki z delikatnej skórki osadzone na wysokich drewnianych konstrukcjach zwanych patenkami, noszonych czasem przez panie z lepszych sfer w celu ochrony drogich spódnic przed ulicznym błockiem. Ale o wiele wyższe niż zazwyczaj. Osoba poruszająca się na takich koturnach unosiłaby się dziesięć cali nad ziemią. Wymagałoby to od niej zręczności chodzącego na szczydłach cyrkowca.

Minęło kilka chwil, zanim pojęłam, że prześladowcy Cecily wykazali się nie lada sprytem. Odkryli, jak w niezauważalny dla postronnych obserwatorów sposób utrudnić ofierze chodzenie, a także sprawić przy tym, że ona sama będzie się wydawała starsza i wyższa, a jej biała suknia – jeszcze bardziej olśniewająca.

Biedna lady Cecily, której jedynym marzeniem było czytać, rysować i rozmyślać do woli, by naprawiać świat, zostanie zdana na wątpliwą łaskę i niewątpliwą niełaskę wicehrabiny Otellii i baronowej Aquilli?

– Harpie – mruknęłam gniewnie. – Zmij. Muszę im pokrzyżować szyki. – Najwyższy czas pospieszyć mojej biednej lady z odsieczą.

Ale najpierw trzeba poszukać kryjówki, która pozwoli mi dotrzeć do najbardziej stosownej chwili.

Coś, co wydawało mi się najmniejszym z moich zmartwień, okazało się nagle przeszkodą nie do pokonania. Zdmuchnęłam świecę, a kiedy wosk ostygł, wsunęłam ją do kieszeni. Jak ukryć swoją wyrośniętą i chuderlawą obecność? Przez lukarnę zaglądało do wnętrza blade światło budzącego się dnia. Rozejrzałam się uważnie po pomieszczeniu, ale było tak skromnie umeblowane, że nie sposób było w nim znaleźć przyzwoitej kryjówki. Ani sofy, za którą można wpełznąć, ani innych słusznych rozmiarów sprzętów, ani jednej draperii, ani nawet stołu przykrytego serwetą.

I kiedy tak stałam pośrodku pokoju, usłyszałam kroki na prowadzących do niego schodach.

O bogowie! Co teraz?

Rozwiązanie było jedno, chociaż myśl o nim budziła we mnie jeszcze większy opór niż uprzednia konieczność zbeczeszczenia ołtarza i wody w chrzcielnicy. Nie bardzo rozumiałam dlaczego, przecież uwielbiam piękne stroje, a suknia była cudem samym w sobie: wzmacniane dopasowane zaszewki, bufy na rękawach, połyskliwy jedwab obsyty delikatną koronką – zobaczyłam to wszystko, przymusiwszy się do rozsunęcia ochraniającego płótna. A jednak coś mnie w tej całej bieli odpychało. Wahałam się jeszcze przez chwilę, jednak kiedy usłyszałam szuranie tuż pod drzwiami, nabrałam w płuca powietrza, naprężyłam się jak ktoś wkraczający z wozu kąpielowego w morskie fale i dałam nura pod ciężki od koralików rąbek spódnicy i wyprostowałam się, by stanąć w jej obfitych fałdach. Nie wypuszczając dyndającego zawiniątka z ubraniami, ustawiłam stopy tak, by przysłonił je tren sukni. A kiedy znieruchomiałam, suknia przestała falować, układając się wokół mnie w niebudzący podejrzeń sposób.

Taką miałam nadzieję...

Usłyszałam kroki kilku osób, które weszły do pomieszczenia, jakieś ciężkie tąpnięcie i władczy matronowaty głos, który wycedził lodowato:

– Doskonale, Jenkins, myślę, że tutaj nie powinna już nam sprawiać kłopotów. Możesz jej zdjąć z ust opaskę.

Te... te wiedźmy... szantrapy... te... brakowało mi dostatecznie obraźliwych słów... te jędze zatracone ośmieliły się ją *zakneblować*? Musiałam choć przez chwilę spojrzeć na lady Cecyli i zorientować się, jak biedactwo sobie radzi; przysunęłam twarz do koronkowej plisy pod talią, jednak niewiele zobaczyłam. Oto, co udało mi się dostrzec:

Przechylony damski *derrière*<sup>[11]</sup>, na którym piętrzyły się kremowe i fiołkowe drapowania. To z pewnością wicehrabina Otelia.

Obok niej zamajaczyła ludzaco podobna postać, przyodziana w jedwab w odcieniach gołębih szarości, na którym próżno by szukać choćby najmniejszej przestrzeni wolnej od ozdóbek – przeurocza Aquilla.

Prosta w kroju, drukowana w kwiaty spódnica i dwa wiszące ogony koronkowych wiązań fartucha – pokojówka w porannym stroju.

Wszystkie trzy stały odwrócone twarzą do czwartej osoby, która – jak się domyślam – rzuciła się na stojące w drugim końcu pokoju krzesło, byle dalej od sukni, w której fałdach się ukrywałam. Mignęło mi przed oczyma coś cytrynowego: z pewnością była to ta sama okropna spódnica, w której widziałam lady Cecyli w Umywalni dla Dam.

Ogarnęły mnie jednocześnie uczucie litości i triumfu: moja drobniotka leworęczna lady miała w sobie więcej ducha, niż ją o to podejrzewał Sherlock Holmes. To oczywiste, że wciąż próbowała stawiać opór.

Głos, który odezwał się pierwszy, należał do Aquilli (zdobnej w niezliczone marszczenia, zakładeczki, falbaneczki, pliseczki, kokardki, koraliczki, bufki i aplikacje), która podjęła przerwany wątek:

– Zajmij się nią, Jenkins, my musimy nadzorować przystrajanie ołtarza kwiatami. A ty – rzuciła w stronę cytrynowej wysepki buntu białej w krzesło – postaraj się o przyjemniejszy wyraz twarzy,

inaczej założymy ci na buty patenki i nie dostaniesz po ślubie kolacji, będziesz się tylko przyglądać, jak dobrze się bawią twoi weselni goście. Chodź, Otelio. Niebawem tu wrócimy. – Ostatnie zdanie rzuciła służącej przez ramię i obie damy opuściły pokój, szeleszcząc jedwabiami.

Kiedy wyszły, mogłam wreszcie dokładniej przyjrzeć się lady Cecily. Zwiesiła głowę i osunęła się na krzesło w kształt przecinka. Cała jej postać była jednym wielkim krzykiem rozpaczy. Choć nie wydawało mi się, by jeszcze bardziej zeszcupiała od czasu naszego ostatniego spotkania – bądź co bądź babsztyle nie mogły jej zagłodzić na śmierć – odniosłam wrażenie, że wygląda mizerniej. Jej twarzyczka stała się jeszcze drobniejsza i subtelniejsza, powiększyły się cienie pod oczami. Na ten widok aż przygryzłam wargę z niepokoju. A jeśli się okaże, że nie ma w sobie dość sił, by walczyć?

– No, panienko Cecily – zagruchała pojednawczo pokojówka Jenkins – czasem trzeba trochę pocierpieć, żeby to, co dobre, było potem jeszcze lepsze. Proszę pomyśleć, jak ślicznie będzie panienka wyglądać z kwiatami mirtu i pomarańczy przystrojonymi rypsowymi wstążeczkami... Widziała panienka, jaką prześliczną szarfę dobrała panience lady Aquilla do wiązanki ślubnej? – Służąca przeszła przez pokój i podniosła z podłogi okrągłe pudło, które ktoś zostawił przy drzwiach. Zdjąwszy pokrywę, pochyliła się, by dobrać się do zawartości.

Czynność ta całkowicie pochłonęła jej uwagę.

Oto moja szansa.

Sięgnęłam do kieszeni po pewien osobliwy różowy wachlarz. A potem wysunęłam głowę spomiędzy fałd spódnicy, trzymając wachlarz przy podbródku. Lady Cecily powinna od razu mnie rozpoznać i domyślić się, jakie mam plany.

Gdyby tylko zechciała spojrzeć w moją stronę!

A jednak. Najwyraźniej zaniepokoił ją nieoczekiwany ruch. Uniosła głowę i wbiła we mnie spojrzenie. I kiedy nasze oczy się spotkały, ponownie odczułam coś w rodzaju prądu elektrycznego. Z pewnością był mocniej odczuwalny dla niej, ze względu na okoliczności. Jej wielkie, ciemne oczy stały się ogromne jak spodki.

Wskazałam na zaabsorbowaną pokojówkę i wyszeptałam bezgłośnie:

– Każ jej wyjść.

Nie miałam pojęcia, jak tego dokona w sytuacji, gdy służącej przykazano, by nie opuszczała jej ani na krok. Ale okazało się, że lady Cecily wykazała się zdumiewającym sprytem. Kiedy chowałam się ponownie w bezpiecznym kokonie sukni, osunęła się na podłogę z głuchym łoskotem i znieruchomiała, pozorując omdlenie.

– Panno Cecily? – zaniepokoiła się służąca, a po chwili dobiegły mnie odgłosy szybkich ruchów i zrozpaczone okrzyki: – Panienko Cecily! Niech się panienka ocknie! Wielkie nieba! Sole trzeźwiące! Lekarza! Na pomoc! – I poczciwa Jenkins wybiegła z pokoju.

Kiedy tylko zniknęła za drzwiami, wyskoczyłam z fałd sukni jak przepiórka na odgłos nagonki, przebiegłam przez pokój, zamknęłam drzwi i przekręciłam klucz w zamku, korzystając z głośnego tupotu zbiegającej w panice po schodach Jenkins.

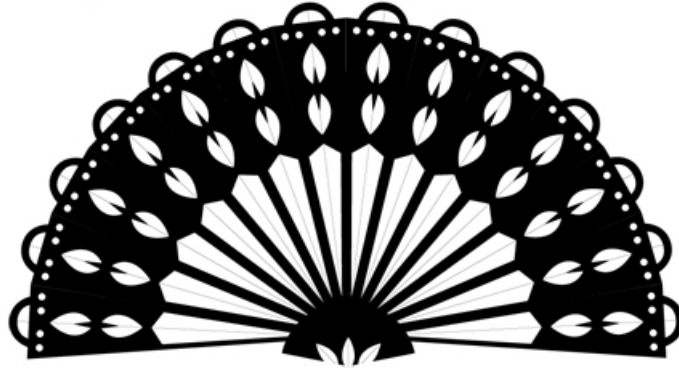
– Gotowe! – szepnęłam, odwracając uśmiechniętą triumfalnie twarz ku lady Cecily.

Ta jednak wciąż leżała nieruchomo na podłodze.

O nieba, to wcale nie był przemyślany fortel. Ona naprawdę zemdląca.

A jeśli nie uda mi się jej ocucić?





## ROZDZIAŁ SIEDEMNASTY

Na szczęście, kiedy przyklekłam obok, lady Cecily westchnęła cichutko, zatrzepotała powiekami, otworzyła oczy, spojrzała na mnie i aż się rozpromieniła z radosnego zdziwienia.

– Enola? – wyszeptła w najwyższym zdumieniu.

Cóż za niezwykle uczucie słyszeć swoje prawdziwe imię wypowiedziane w taki sposób. Wzruszenie odebrało mi na chwilę umiejętność poruszania się i mowy.

– Enola? – Uniosła w moją stronę dłoń. – To znowu ty? Czy to możliwe?

– Ciii. – Dotknięcie jej rąk nieomal doprowadziło mnie do łez, jednak czas naglił i trzeba było działać. Zmobilizowałam wszystkie siły, pogrzebałam w kieszeniach i wyłowiłam z ich czeluści kilka wzmacniających karmelków, które zawsze przy sobie noszę. Odwinęłam cukierek z papierka i poczęstowałam nim Cecily. Włożyła go do ust, ale myślę, że moja obecność pobudziła ją bardziej niż działanie cukru. Usiadła w chwili, gdy zaczęłam ściągać jej buty. – Przebierzemy cię – powiedziałam łagodnym, acz stanowczym głosem – żebyś mogła uciec. Zgoda?

– Zgoda? Ależ oczywiście, moja tajemnicza przyjaciółko! – Skoczyła na równe nogi i zaczęła się szarpać ze swoją diabelską spódnicą. Cholerstwo było zapinane od tyłu, podobnie jak bluzka, zgodnie z tradycją wyższych sfer uniemożliwiająca damie ubieranie się bez pomocy służącej. Udało mi się paroma szarpnięciami rozpiąć większość guzików. Kiedy się wreszcie wyswobodziła z wierzchnich okryć i odrzuciła je na stertę, pobiegłam po swoje zawiniątko ukryte pod suknią ślubną.

Po zawiniątko z ubraniami, w którym znalazły się także botki z twardej skóry – dar przekazany poprzedniego popołudnia na ręce „Peggy”.

– Zrobimy z ciebie sierotę.

– I bez tego czuję się osierocona! – Ale szczupła buzia Cecily rozpromieniła się na widok nowej garderoby. Kiedy się cieszyła, jeszcze bardziej przypominała mi Alicję z Krainy Czarów – i sięgnęła po nie szybkim ruchem.

Ja także w największym pośpiechu rozsypywałam tobolek i podawałam jej ubrania. Najprostsze czynności okazywały się niezwykle trudne; Cecily i ja nie potrafiłyśmy skoordynować naszych ruchów. Tym bardziej że chciałam jej przekazać kilka informacji.

– Pamiętasz pana Sherlocka Holmesa? – spytałam ją.

– Twojego brata! – wykrzyknęła radośnie.

– Wielkie nieba! – Z wrażenia odebrało mi oddech. – Mam nadzieję, że nikomu o tym nie powiedziałaś.

– Oczywiście, że nie. A czy ktoś słyszał o moich szkicach węglem?

Pytanie było retoryczne, ponieważ wiedziała, że nikomu bym nie wyjawiała jej tajemnicy. Usiłując ukryć uśmiech, wyjaśniłam pośpiesznie:

– Twoja matka skontaktowała się z nim w twojej sprawie. Wyjechała do rodziny na wieś. A on ma cię tam zawieźć. Niech diabli porwą te pończochy!

Miałam wrażenie, że przebieranie jej w burą sukienkę, fartuch w kratkę, grube prążkowane pończochy i skromne (czytaj: brzydkie) botki trwa całą wieczność. W rzeczywistości zajęło to nie więcej

niż parę minut, ponieważ nikt się nie pojawiał, nawet wówczas, gdy zaczęłam wpychać jej włosy pod czepek z falbanką.

Długie, lśniące, gęste, gładkie loki wciąż wyslizgiwały mi się z rąk.

– Nic z tego – wyszeptalam nerwowo, ponieważ cenny czas uciekał. – Ale jak chcesz udawać sierotę, mając tak sakramencko piękne włosy?

– No to je zetnij!

– Nie mamy czasu! – Mimo to sięgnęłam do okrągłego pudła po nożyczki – nieduże, przeznaczone do wstążeczek, ale lepszych pod ręką nie było – i zaczęłam ścinać jej lśniące loki na wysokości uszu.

Ledwo zaczęłam, kiedy na schodach ponownie zadudniły kroki. Cecily wzdrygnęła się jak sploszona sarna.

– Nie ruszaj się!

Zesztywniawszy ze strachu, zastosowała się, chcąc nie chcąc, do mojego polecenia.

– Enolu, dziękuję ci za...

– Ciii! Nie odzywaj się – wyszeptalam, ścinając w obłąkańczym pośpiechu długie pasma i upychając je z braku innego miejsca po kieszeniach.

Ktoś – najprawdopodobniej Jenkins – pokręcił gałką, a potem krzyknął:

– Zamknięte na klucz!

A jednak, zwyczajem większości osób, służąca nie przestawała szarpać za uchwyt, jakby mogło to jakimś cudem zwolnić blokadę.

– Odsuń się od drzwi – zakomenderowała baronowa czy też może wicehrabina. Obie miały niemal identyczne głosy. – Ty nierozgarnięta dziewucho, wywiodła cię w pole! – Seria głuchych tąpnięć świadczyła, że ktoś zepchnął nieszczęsną Jenkins ze schodów! Jednocześnie wściekły głos zaryczał: – Cecily!!!

Wrzask przyprawił dziewczynę o spazm, poczułam, jak podskoczyła ze strachu.

– Ciii – szepnęłam, tnąc kolejne pukle i zbliżając się do drugiego ucha. – Zgarnij teraz resztę włosów na twarz.

Zrobiła to, a gałka znów zaczęła się kręcić z łoskotem.

– Cecily, otwórz i wpuść nas do środka! – zaskrzeczała któraś z sióstr.

– Otwieraj natychmiast! – zajazgotała druga.

I zaczęły się wzajemnie przekrzykiwać.

– Cecily! Ty niewdzięczny bachorze!

– Otwieraj, inaczej czeka cię surowa kara!

I tak dalej.

Po paru chwilach wrzaski nieco się uspokoiły.

– Muszą tu mieć zapasowy klucz. Jenkins, leć i popytaj!

Ojej...

Ale na szczęście już kończyłam.

– Gotowe – wyszeptalam, skracając jednym cięciem grube pasmo zebranych nad czołem włosów.

– Skończyłam. – Ponownie nasadziłam jej na głowę czepek i oto stała przede mną prawdziwa sierotka, niższa ode mnie o głowę, w za dużych butach i w ubraniach jak po starszej siostrze, do których jeszcze nie dorosła. Ostrzyżone krótko włosy, zwłaszcza nastroszona grzywka spadająca jej na oczy, sprawiły, że trudno było w niej rozpoznać dawną Cecily Alistair. – Cudownie!

Nie odwzajemniła uśmiechu; w jej ogromnych oczach wciąż malowało się przerażenie. Wpatrywała się we mnie z niemą prośbą o ratunek.

– Ale, Enolu, co dalej? Jak...?

W rzeczy samej, jak umożliwić jej ucieczkę, kiedy za drzwiami awanturują się jej wrogowie?

– Sprowadź tu mężczyzn, żeby wyważyli drzwi! – skrzeknęła któraś z ciotek.

– I to piorunem – zawtórowała piskliwie druga.

– Tak jest, proszę jaśnie pani. Tak jest... – Głos Jenkins zanikł gdzieś w dole.

Cecily przygryzła wargi, żeby nie wybuchnąć płaczem.

– Zдай się na mnie – poprosiłam, podchodząc do zawieszanej pod sufitem sukni. Zerwałam zabezpieczające ją płótno, zdjęłam ją szarpnięciem z wieszaka i wciągnęłam ją na siebie.

Nie sądziłam, że oczy Cecily mogą stać się jeszcze większe. A jednak zaczęły przypominać dwa talerze, a jej różane usteczka ułożyły się w równie krągłe „O”.

– Zyskasz na czasie – wyszeptalam. – Trzymaj. – Podwinawszy białą spódnicę wygrzebałam z kieszeni wachlarzyk z różowego papieru, na którym wypisałam ołówkiem, na wypadek, gdyby wszystko inne miało zawieść, co następuje.



– Schowaj się za drzwiami – poleciłam lady Cecily. – Kiedy wszyscy tu wpadną, wymkniesz się na schody. Pobiegniesz do bramy i podniesiesz to w górę – mówiłam, wręczając jej wachlarz. – Pan Holmes albo któryś z jego znajomych powinien tam na ciebie czekać.

Tymczasem na schodach ponownie rozległy się czyjeś kroki.

– Zdobyłam zapasowy klucz, proszę jaśnie pani! – oznajmił roztrzęsiony głos.

Nie było czasu na zapięcie milionów perełkowych guziczków na plecach sukni ślubnej. Zdażyłam w ostatniej chwili sięgnąć po stroik i nasadziłam go sobie na głowę, przykrywając twarz kilkoma warstwami białego tiulu, i rzuciłam się na krzesło, które zajmowała kilka chwil wcześniej Cecily.

Klucz zgrzytnął w zamku.

Dopóki będę siedzieć na wpół skulona na krześle, omotana w obfitości sukni ślubnej, nie dostrzegą mojego wybujałego wzrostu i nie zaczną niczego podejrzewać. Liczyłam na to, podkurczywszy nogi pod falbanami spódnicy. Ukryłam dłonie na kolanach i chwyciłam między palce kilka warstw tiulowego welonu.

– Cecily! – zagrzały unisono obie jędze, kiedy drzwi rozwarły się z impetem. I powtórzyły, również razem, ale już zupełnie innym tonem:

– *Cecily?*

Nie widziałam poprzez mleczną biel welonu, jakie miny miały obie matrony i zahukana służąca, kiedy otoczyły mnie półkołem i zaczęły mi się przyglądać.

– Przebrała się w suknię ślubną – stwierdziła któraś z damulek, a w jej głosie zabrzmiało zdumienie.

Widziałam je jak przez mgłę. A jednak dostrzegłam za ich plecami zarys postaci mizernej sierotki wymykającej się na palcach z pokoju. Chcąc skierować całą uwagę na siebie i umożliwić jej ucieczkę, zaczęłam się kołysać w przód i w tył, jak osoba dotknięta ciekawą odmianą obłądu.

– Cecily, przestań!

– Dlaczego sama się ubrałaś? Wszystko krzywo leży. Wstań.

Nie wstałam. Udałam, że złapały mnie konwulsje.

– Przestań się tak groteskowo trząść, Cecily! Co się z tobą dzieje? Pokaż no mi się. – Jedna z wieźm spróbowała zajrzeć pod welon.

Nie udało się jej to, rzecz jasna, bo mocno go przytrzymałam od dołu. Starłam się z grubsza oszacować, jak daleko mogła się przemieścić prawdziwa Cecily. Z pewnością dotarła już na parter, być może jest już na zewnątrz i biegnie przez dziedziniec.

– Cecily, puszczaj! – Jedna z siostr usiłowała wyrwać mi welon z rąk.

– Przestań, Otelio, bo go podrzesz. Przecież to najdelikatniejszy tiul w całym Londynie!

– No to każ jej go puścić!

– Cecily! – Aquilla chwyciła mnie mocno za ramiona. – Rób, co ci ciotka każe!

Zaczęłam się rzucać w budzący litość sposób.

– Cecyli! – Obie wpiły mi szpony w barki i zaczęły mną potrząsać, co przyjąłam z ogromnym zadowoleniem: niech pastwią się nade mną do woli. Jediną trudnością było zachowywanie milczenia w trakcie tego wybuchu okrucieństwa, nie chciałam, żeby mój głos przedwcześnie zdradził, kim jestem. Im dłużej dam im się maltretować, tym więcej czasu będzie miała Cecyli na ucieczkę.

Ale ktoś im przerwał.

– Co się z nią dzieje? – ryknął męski głos. Nie miałam najmniejszych wątpliwości, że należy do barona.

Zarówno baronowa, jak i wicehrabina pisnęły z oburzeniem, będącym wyćwiczoną reakcją na niespodziewaną obecność osobnika płci męskiej.

– Dagobert! Bramwell! – zawołała Aquilla (jak się domyślam). – A co wy tu robicie?

Niech niebo ma mnie w swojej opiece! Obaj? Tak, przez warstwy tiulu zobaczyłam dwa zwaliste kształty w odświeżonych ubraniach.

– Jenkins powiedziała, że mamy tu przyjść i wyważyć drzwi – odparł baron. – Czyżby wyprawiała tu jakieś browary?

– Zdaje się, że zupełnie postradała zmysły!

Baron budził we mnie tak wielki lęk, że bez trudu powróciłam do swojej obłąkańczej pantomimy i ponownie zaczęłam kołysać tułowiem w przód i w tył, urozmaicając to serią żalonych jęków.

Baronowa pospieszyła z dalszymi wyjaśnieniami.

– Najpierw zemdlą albo udała, że straciła zmysły, potem zamknęła się przed nami na klucz, a teraz zamotała się w swoją suknię ślubną... Popatrzcie tylko! Kolebie się w fotelu, zupełnie jakby...

Lady Merganser urwała w pół zdania, a potem, tonem osoby, która przejmuje dowodzenie w sytuacji kryzysowej, powiedziała:

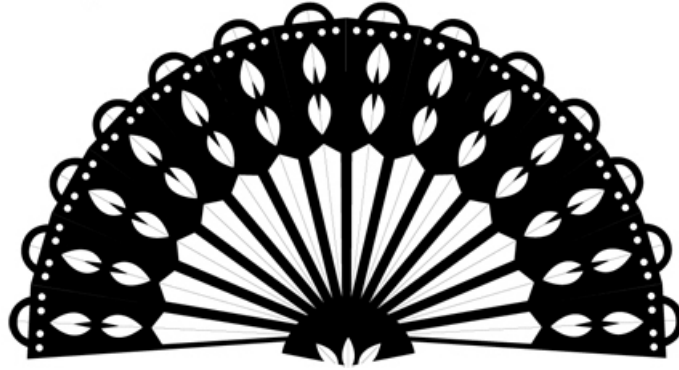
– Jenkins, przyprowadź tu pastora.

– Dobrze, proszę jaśnie pani. – I zahukana sługa ponownie ruszyła w dół schodów.

– Bramwell, chodź tu i stań przy swojej wybrance.

– Co też mama mówi? – zaskomlał ropuchowaty osobnik.

– Rób, co ci każe! Nie widzisz, w jakim jest stanie? A będzie jeszcze gorzej. Myślisz, że chcemy ją potem znieść do kaplicy? Niech licho porwie ceremonię, musicie wziąć ślub tu i teraz.



## ROZDZIAŁ OSIEMNASTY

Pyszny pomysł! Ha ha! – ryknął baron.

I w tej samej chwili uświadomiłam sobie przyczynę mojej instynktownej awersji do ślubnej bieli. To miało związek z pierwszym członem wyrażenia *węzeł małżeński*. Niewola. Okropna, nieodwracalna niewola.

*Nonsens, Enolu. Doskonale sobie poradzisz sama. Myśl.*

Mimo przerażenia wywołanego nieoczekiwanym obrotem spraw przekonałam samą siebie, że nie jestem w gorszej sytuacji niż poprzednio. Muszę tylko w pewnym momencie jak najszybciej czmychnąć, nic więcej. I kiedy tak czekaliśmy wszyscy na nadejście pastora, a ja dalej wiłam się i kołysałam, popiskiwałam i jęczałam, wkładając całe serce w udawanie istoty, której odebrało rozum, udało mi się uspokoić myśli i emocje do tego stopnia, że mimo niezręczności całej tej sytuacji z przyjemnością wyobrażałam sobie niezapomnianą scenę, która niebawem się tu rozegra. Podobnie jak mój brat, Sherlock Holmes, uwielbiam dramatyczne efekty. Postanowiłam więc symulować obłąd aż do chwili, kiedy zostanę nakłoniona do wypowiedzenia sakramentalnego „tak”. A wówczas tonem jak najbardziej trzeźwo myślącej osoby oświadczę: „W żadnym wypadku”. I korzystając z tego, że wszystkich zamuruje z wrażenia fakt, że ktoś śmiało zrezygnować z zaszczytu poślubienia czarującego Bramwella, z godnością i determinacją podniosę się z krzesła, zedrę z siebie przebranie i wymknę się z pokoju.

A raczej – bądźmy realistami – wybiegnę, jakby mnie goniło stado diabłów.

Bez butów?

Ech, co tam. W życiu trzeba być odważnym... działać albo zginąć... Cecily już z całą pewnością jest bezpieczna... moje poświęcenie nie poszło na marne – oto, jakie myśli przebiegały mi przez głowę, kiedy dalej się kołysałam, skręcałam i stękałam, dysząc od czasu do czasu, dla wzmocnienia efektu, jak pies. Suknia ślubna miała najmodniejszy, naszywany koralikami i sztywny jak blacha wysoki kołnierzyk. Obroza ta – jakże wymowny element stroju osoby przymuszanej do zamążpójścia – ocierała mi niemiłosiernie płatki uszu, więc do całego repertuaru kołysania ciałem, dygotania itp. dołączyło również posykiwanie z bólu. Myślę, że powinnam podziękować temu narzędziu tortur za to, że pozwoliło mi się wspiąć na wyżyny aktorstwa.

– Coś niesłychanego – zamamrotał pastor, kiedy Jenkins wprowadziła go do pokoju.

– Widzi pastor, w jakim jest stanie? – spytała Aquilla.

– Tak, no cóż, zdaję sobie sprawę...

– Zdaj pan sobie sprawę z sowitego wynagrodzenia, które pan zainkasujesz, ha, ha! I bierz się pan do roboty! – zahuczał rozpoznawalny bez pudła głos.

Ktoś, prawdopodobnie Jenkins, położył mi na kolanach wonną wiązankę i usiłował poutykać nieco kwiecica w stroiku sterczącym na mojej podskakującej we wszystkie strony głowie. Wokół mnie zapanował chwilowy rozgardiasz; reszta obecnych osób zaczęła przystawiać sobie krzesła, zajmować miejsca i dopytywać, kto ma obrączki. Wówczas Aquilla, niczym owczarek zaganiający bydło, szczerknęła coś ostro i w zadziwiająco szybkim tempie pastor w istocie wziął się do roboty.

– Drodzy moi – rozpoczął śpiewnie – zebraliśmy się tu dzisiaj, by połączyć tego oto mężczyznę

i tę oto kobietę świętym węzłem małżeńskim...

Świętym, tere-fere kuku. Nie przestając się miotać, trząść i wyginać w konwulsjach, wsłuchiwałam się bacznie w monotonne brzęczenie duchownego, czekając na znak do działania.

– Gdyby ktokolwiek z tu obecnych znał przyczynę, dla której ten oto mężczyzna nie może zawrzeć małżeństwa z tą oto kobietą, niech przemówi teraz albo...

Rutynowe głędzenie. Nikt się nie odezwie.

– ...na wieki zachowa milczenie.

– Znalazłoby się ich kilka – odezwał się nagle w drzwiach pompatyczny męski głos.

Pisk, który wydarł się z mojego gardła, utonął na szczęście wśród głośnych okrzyków zdumienia i wszyscy odwrócili twarze w stronę intruza.

– Coś pan za jeden? – spytał baron.

Ale ja nie musiałam czekać na odpowiedź. Najbardziej niepożądany spośród wszystkich nieproszonych gości, ktoś, kogo obawiałam się bardziej niż kogokolwiek, osobnik, który miał największą moc, by zepsuć mi do reszty życie...

Tak jak teraz zepsuł mi niespodziankę.

Zadziwiająco, do czego może nas pchnąć zraniona próżność. Fala żółci skutecznie ugasiła płomienie strachu. Przepęlna wściekłością wrzasnęłam:

– Mycroft! – Skoczyłam na równe nogi i zdarłam z twarzy welon. – Niech cię licho, dlaczego nie możesz dać mi...

– Po pierwsze, choć nie najważniejsze, panna młoda nie jest osobą, którą być powinna. – Mycroft perorował dalej z namaszczeniem, jakby scena nie zrobiła na nim żadnego wrażenia, natomiast wszyscy zgromadzeni zaczęli wrzeszczeć i krzyczeć.

– ...wreszcie spokoju?! – W przyplýwie szewskiej pasji podbiegłam do niego, uniosłam w górę rękę, jakbym chciała cisnąć w niego głazem, i zarzuciłam mu na głowę ślubny welon.

Cóż za szkoda, że nie mogłam rozkoszować się widokiem brata omotanego od czubka cylindra po kamizelkę kłębamii białej koronki i tiulu. Z pewnością wyglądał nader intrygująco. Jednak dawszy upust pierwszemu impulsowi, miałam na tyle przytomności umysłu, że szybkim krokiem oddaliłam się od nowo przybyłego. Kiedy opuściłam rękę, zsunęła się ze mnie niezapięta suknia, tworząc wokół moich stóp białą zaspę, z której zwinnie wyskoczyłam. Och, jak bardzo liczyłam na to, że Mycroft potknie się o nią, kiedy wyswobodzi się z welonu. Jak wielką miałam nadzieję, że się przewróci i uszkodzi sobie którąś część swojej zażywej osoby. Jak bardzo pragnęłam, by wojowniczy baron poczęstował go pięścią. Do diaska, Sherlock musiał wyjawić bratu, gdzie mnie szukać. Nienawidzę go. Nie cierpię ich obydwu. I zupełnie nie wiem, dlaczego tak bardzo szlochałam, pędząc schodami w dół.

Dobiegły mnie jeszcze okrzyki:

– Za nią!

– Zatrzymać tę przeklętą dziewczynę!

– Enolu! Czekaj! – Znów ten władczy ton Mycrofta.

Zamruczałam w odpowiedzi coś, co wstyd tu powtarzać, przeskoczyłam kilka stopni naraz, zapomniawszy, że uciekam w samych pończochach, poślizgnęłam się i omal nie upadłam. W ostatniej chwili ocalałam życie, chwytając się balustrady. Od razu podsunęło mi to myśl, by dosiąść solidnej, gładkiej poręczy, co też uczyniłam i zjechałam w zawrotnym tempie z drugiego piętra na pierwsze. Pamiętam jak przez mgłę zdumione i zachwycone twarze grupki sierot, którą minęłam w pędzie. W podobny sposób pokonałam drogę na parter. Dudnienie kroków na schodach stawało się coraz cichsze, mieszkanki sierocińca pozostały na górze, więc nikt nie stanął mi na drodze, kiedy biegłam przez główny hol przytułku. Zobaczywszy wiszące na kołkach peleryny i czepce, chwyciłam po jednej sztuce z każdej części garderoby i pognałam ku frontowym drzwiom.

Na dziedzińcu zwolniłam krok do szybkiego chodu, otarłam z policzków łzy, zarzuciłam skromną granatową pelerynę na ramiona i ukryłam rozczochrane włosy pod równie skromnym, staromodnym, ciemnoniebieskim czepcem. Była to z pewnością własność jednej z nadzorczyń, nakrycie głowy, w którym udawała się w niedzielę do kościoła.

W stojącej przy bramie drewnianej budce siedział niezwykle wiekowy, pomarszczony staruszek. Drzemał, oparłszy brodę o zapięcie marynarki z brązowej popeliny. Ocknął się i podskoczył nerwowo dopiero wówczas, gdy byłam tuż obok. Wbił we mnie zamglony wzrok, zachodząc w głowę, kim jestem i skąd się wzięłam.

Zanim jeszcze mlasnął wargami, by mnie o to spytać, zbeształam go ostro arystokratycznym tonem, jakbym była członkinią zarządu sierocińca, a może nawet jedną z jego mecenasek:

– Towheedle, znowu śpisz. Wstydz się! Otwórz mi!

Biedak rzucił się do bramy, by wykonać polecenie.

Wówczas zadałam mu pytanie:

– Czy był tu utykający na jedną nogę dżentelmen?

Pokiwał głową, zachwiał się na nogach i zaczął szarpać grzywkę.

– Tak, proszę... hmm... – Zawahał się, niepewny, czy jestem „panią”, czy „jaśnie panią”.

– A czy była z nim dziewczyna?

– Taka nieduża, z różowym wachlarzem? Tak, proszę... hmm...

– Dziękuję, Towheedle, to wszystko.

I rzeczywiście. To było wszystko. Cudownie.

Cudownie dla Cecily Alistair. Włosy wkrótce jej odrosną, a ona sama dorośnie na tyle, by dopuścić do głosu własne ja i określić swoje miejsce w świecie; ale zanim to nastąpi, musi dołączyć do swojej kochającej matki.

Ach, mieć taką mamę...

Gdy opuściłam teren sierocińca, przestałam się bać, że odzwierny mógłby zauważyć brak butów na moich nogach. To nie miało już najmniejszego znaczenia. Po chwili przywołałam dorożkę, która zabrała mnie na stację metra, a stamtąd podjechałam na East End i pokuśtykałam w stronę swoich pieleszy z zamiarem udania się na jakże zasłużony odpoczynek. A raczej, spójrzmy prawdzie w oczy, z zamiarem ochłonięcia z emocji.

W drzwiach wejściowych natknęłam się na panią Tupper, która obrzuciła mnie spojrzeniem i zabeczła jak owca:

– Panno Meshle! Co się panie stało?

Było to pytanie wybitnie retoryczne, ponieważ głuchota – chwała Bogu – uniemożliwiała jej wysłuchanie szczegółowszych wyjaśnień. Niestety, zacna dusza nie przyjęła moich odmownych gestów, ujęła mnie pod rękę i usadziła przed kominkiem, a następnie przyniosła miednicę z ciepłą wodą, bym mogła wymoczyć obolałe nogi, postawiła przede mną miskę obrzydliwego, ale pożywnego bulionu na wątróbce z kaszą jęczmienną, po czym uraczyła mnie przydługim, acz serdecznym monologiem:

– Któż to wie, czemu panna wciąż się pakuje w jakieś tarapaty, ale nic mi, starej, do tego, zaraz rozczeszę te poplątane włosy i przyniosę trochę końskiej maści i szarpie na obłożenie zbolałych nóżek, na pewno oddała panna buciki jakiejś biedaczce, trzeba trochę bardziej o siebie zadbać, ale też nie ma poczciwszego serduszka w całym Londynie, nie mnie wnikać, jak się panna dorobiła tych sińców i zadrapań, i czemu wróciła w podartej sukience, ale niech się panna naje zupy, a potem podam jeszcze leguminę, moje jagniątko, wróciło na wpół zagłodzone i co ja mam z nią począć?

Ale doskonale wiedziała, co ze mną począć. I kiedy już jej za wszystko podziękowałam i spoglądałam z ciepłego łóżka, jak zamyka za sobą drzwi mojego pokoiku, a potem słuchałam, jak idzie na dół po skrzypiących schodach, utyskując donośnie, byłam nakarmiona, wykąpana i przebrana, moje skatowane stopy dochodziły do siebie, a i zbolałe serce zaczęło się powoli uspokajać.

Myśl, że padłam ofiarą zdrady, bardzo mnie wzburzyła. Sherlock wyjawiał Mycroftowi, gdzie jestem. A jednak, moszcząc się w pościeli do snu, uświadomiłam sobie, że moja reakcja była bardzo dziecinna. Sherlock wykonywał swoje obowiązki, które pojmował tak a nie inaczej. Nigdy mi niczego nie obiecywał. W rodzinnej zabawie w chowanego młodszy z braci grał zawsze fair.

I starszy. Mycroft też nie zrobił przecież nic – chociaż bywał nieznośny – czego na zdrowy rozum nie powinnam się po nim spodziewać. Przecież to nie jego wina, że jest, jaki jest, podobnie jak trudno było winić mamę, że...

Ach, mama...

Dziś matkowała mi pani Tupper, ale gdzie się podziewała moja prawdziwa rodzicielka? Zamieszczono w prasie zapytanie w formie zagadki:

Narcyz kwitł w wodzie, bo jednego było mu brak,  
Chryzantema w szkle kwitła, bo miała aż dwa,  
Bluszcz nie odgadł, mimo szczerych chęci  
Irysowej wieści zostawionej ku pamięci.

nie doczekało się jeszcze odpowiedzi. Oczywiście niedorzecznością byłoby spodziewać się jej na dniach. Chociaż może w „Pall Mall Gazette”? Przymknąwszy oczy, obiecałam sobie, że zajrzę do działu ogłoszeń, kiedy się obudzę.

Ale co mi to da, jeśli nawet znajdę tam odpowiedź? Nie przypominam sobie, by mama kiedykolwiek mnie kąpała, bandażowała, karmiła czy czesała...

Oczy otwały się same i wbiły w sufit. Po skroniach spłynęło kilka mimowolnych łez.

No dobrze. I tak teraz nie zasnę. Westchnęłam, otarłam łzy, podniosłam się, sięgnęłam po arkusz papieru kancelaryjnego, położyłam go na przenośnym blaciku i zaczęłam szkicować.

Narysowałam sierotę, którą się czułam. Potem sportretowałam lady Cecyli w sierocym stroju; wiem, że pozbawiona miłości ojca musi odczuwać to samo co ja. Dopracowując szczegóły jej pełnej wrażliwości twarzy i lśniących oczu, zamyśliłam się. Pod wieloma względami czułam się jej bratnią duszą. Nie spodziewałam się jej więcej spotkać, a jednak nasze drogi znów się przecięły. Czy mogę zatem żywić nadzieję, że za kilka lat, kiedy dorośniemy, będziemy się częściej widywać i może nawet zaczniemy się we dwie zapuszczać na ulice miasta, by rysować?

Sherlock musi dopilnować, by wróciła bezpiecznie pod skrzydła matki. Wspomnienie brata wywołało we mnie poczucie pustki. Szybkimi ruchami stworzyłam karykaturę jego tyczkowatej postaci i w moje serce znów wlało się ciepło.

Kolej na Mycrofta. Udało mi się przedstawić go jak żywego w białym welonie spływającym na opiętą na brzuchu kamizelkę. Uśmiechnęłam się.

W nadziei na kolejny uśmiech sportretowałam pewną uroczą młodą damę w fantastycznej fryzurze i wpiętym w nią rozkosznie twarzowym kapelusiku. Oto ja, w niebieskiej spacerowej sukni i kosztownej peruce, z twarzą zmienioną nie do poznania za sprawą pudrów, kolorowych mazideł i innych upiększaczy, plus uroczą parasolka. Skończona piękność, jak Bożę kocham, ale... ale to tylko część jej historii. Naszkicowałam więc siebie jako śmieciuchę, jako Ivy Meshle z jej tanimi falbankami i dopinanymi loczkami, jako znajęc z ulicy w pogiętym meloniku, królową obdartusów...

Ale nie można ciągnąć tego w nieskończoność. Powinnam sportretować mamę.

Wzięłam nowy arkusz papieru i podjęłam próbę. Nieudaną. W tej konkretnej chwili nie byłam w stanie przywołać w myślach jej wizerunku.

Zamiast tego naszkicowałam zarys kobiecej głowy i zaczęłam ją obdarzać konkretnymi rysami twarzy.

Jasne oczy, młodzieńcze, ale mądre.

Prosty nos.

Mocno zarysowana bródka.

Figlarne usta. Uśmiech Mony Lisy.

Pociągnęła twarz. Nieco podobna do twarzy mojego brata Sherlocka, ale zasadniczo... czyżby moja własna?

Wybałuszyłam oczy. Czy to naprawdę ja? Enola?

Nigdy dotąd nie udało mi się oddać na papierze prawdziwych rysów własnej twarzy. Dlaczego właśnie dziś?

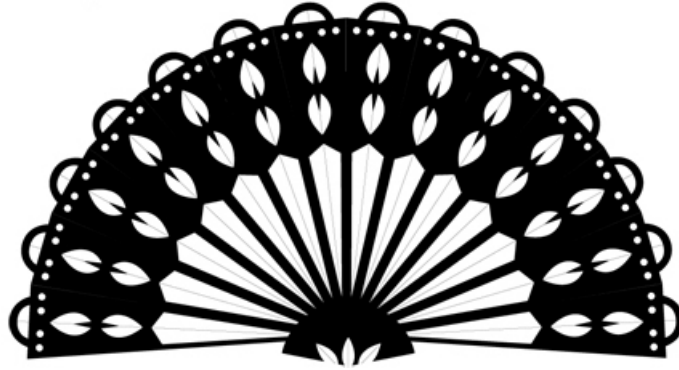
Patrząc na mnie z rysunku oczy domagały się prawdy.

Dlatego że mogłam wreszcie przyznać – choćby tylko przed sobą – iż wiem, co się kryje za zagadkowym uśmiechem Mony Lisy. Nie ulega wątpliwości, że i ona była córką podobnie oschłej osoby. I wiedziałam już, że nie będę szukać mamy. Jeszcze nie. Może nawet nigdy. Najpierw muszę poczuć, że



sama pragnie naszego spotkania.

Ale niezależnie od tego, czy ją jeszcze zobaczę, czy nie, wciąż jestem Enolą.



## MAJ 1889 ROKU

Ivy Meshle po kilku dniach, które minęły od jej powrotu do pracy w biurze „doktora Ragostina”, z przyjemnością wystosowuje list do jednego z jego klientów, generała:

Wielce Szanowny Panie,

w kwestii Pańskiej zaginionej pamiątki z czasów wojny, a konkretnie kości dolnej kończyny z podpisem lekarza, który dokonał jej amputacji, doktor Ragostin z radością pragnie donieść Szanownemu Panu, iż udało mu się ją odnaleźć, a potem skonfiskować niejakiemu Paddy’emu Murphy’emu, dorożkarzowi. Człowiek ten przyznał się do nakłonienia jednej z Pańskich pokojówek, do której żywił nieco gorętsze uczucia, by wyniosła z domu wspomnianą wyżej kość, ponieważ umyślił sobie, że będzie ją pokazywać swoim ciemnym kompanom w zamian za korzyści materialne. Gdyby zechciał Pan podać rzeczzonego Paddy’ego Murphy’ego do sądu, proszę powiedzieć konstablowi, że powinien go szukać w okolicy Serpentine Mews. Noga Szanownego Pana znajduje się obecnie pod troskliwą pieczą doktora Ragostina i może zostać Panu wydana w dogodnej dla Pana porze, po uprzejmym uiszczeniu przez Szanownego Pana uzgodnionego honorarium. Doktor Ragostin cieszy się niepomernie, iż mógł służyć tak zacnej osobie swoją skromną pomocą i pozostaje

szczerze oddany

Leslie I. Ragostin, doktor filozofii

podyktowawszy list panie Ivy Meshle

– Mycroft, mój drogi! – Słynny detektyw Sherlock Holmes jest szczerze zdumiony, widząc w progu swego domostwa przy Baker Street 221B rodzzonego brata; Mycroft niezwykle rzadko zbacza ze stałego kursu pomiędzy swoim rządowym biurem, własnym domem i klubem Diogenesa. – Wejdz, zapraszam na cygaro i szklaneczkę sherry. Chyba nie odmówisz? Cóż za nagły wiatr cię tu przywiął?

– Nie wiatr, jedynie irytujący przeciąg pod drzwiami mojego komfortu psychicznego – mruczy gniewnie Mycroft, sadowiąc swoje obfite kształty w najlepszym fotelu.

– Czy mogę ci jakoś pomóc?

– Wątpię, skoro puściłeś ją wolno, jak skończony bęcwał.

– Aa... – Sherlock odwraca się, by zanurzyć dwa długie palce w fantazyjnym kapciuchu na tytoń, uszytym na kształt perskiego papucia. – Naszą siostrę. Czy nigdy nie przestaniesz mi przypominać finału awantury z aha?

– Może kiedy puścisz w niepamięć zakończenie awantury z welonem. A na marginesie, jak się miewa Cecily Alistair?

– O wiele lepiej, jest pod opieką swojej matki i jej rodziny. Doszły mnie słuchy, że lady Theodora planuje zabranie córki do Wiednia na konsultację z alienistami w sprawie jej dziwnego zachowania à la doktor Jekyll i pan Hyde.

– Aa... Czyżby podejrzewano u niej rozdwojenie jaźni?

– Możliwe. – Sherlock przystaje na dywaniku przed kominkiem. Nabija swoją ukochaną fajkę z morskiej pianki i tylko odrobina tytoniu spada mu przy tym na podłogę.

– Jedno jest pewne, swatanie jej na siłę na pewno nie rozwiązałyby problemu. Cudem tego

uniknęła.

– Nie było żadnego cudu. – Sherlock pyka kilkakrotnie, przykładając zapałkę do cybucha. O tej porze roku nie pali się już u niego w kominkach. – Enola i ja doskonale panowaliśmy nad sytuacją. Niepotrzebnie się tam pojawiłeś. Przecież prosiłem cię, żebyś się w to nie mieszał.

– Mój drogi Sherlocku, ile razy mam ci to powtarzać? Czuję, że mam obowiązek *chronić* Enolę. Nie pamiętasz, jak sam wzdragałeś się na myśl, że nasza siostra pragnie bez niczyjej pomocy wywieść w pole wicehrabiego Inglethorpe'a, barona Mergansera oraz ich imponujących rozmiarów małżonki? Nie miałem wyjścia, musiałem pospieszyć jej z pomocą.

– Wątpię, by Enola uznała twoje wtargnięcie za pomoc. – Tytoniowy dym tym razem nie działa na Sherlocka kojąco. Detektyw zaczyna się przechadzać nerwowo po pokoju. Przemierza go raz po raz w paru długich zamaszystych krokach.

Mycroft odbija piłeczkę.

– Jej opinie są tu bez znaczenia – mówi. – Któż ma ją chronić przed własną głupotą, jeśli nie my, jej bracia? Moje poczynania w sierocińcu i moja obecna troska są podyktowane chęcią niesienia jej pomocy.

– Obecna troska? – Sherlock z żartobliwym dreszczem przerażenia zatrzymuje się wpół kroku, mierząc brata wzrokiem. – Czyżby znów chciała się w coś wplątać?

– Sam nie wiem. Nie mam na jej temat żadnych wiadomości. Ale znalazłem to. – Mycroft wyciąga z kieszeni kamizelki wycinek z gazety i podaje bratu.

– Ach. – Sherlock wręcza mu go z powrotem, nie czytając, ponieważ widuje to ogłoszenie dzień w dzień w „Pall Mall Gazette”.

Narcyz kwitł w wodzie, bo jednego było mu brak,

Chryzantema w szkle kwitła, bo miała aż dwa,

Bluszcz nie odgadł, mimo szczerych chęci

Irysowej wieści zostawionej ku pamięci.

Mycroft spogląda na niego spod nastroszonych brwi.

– Co było ukryte za lustrem, Sherlocku?

– Nic, oprócz pokażnej sumki w gotówce, którą zdeponowałem w jej imieniu w banku, na wypadek, gdyby kiedyś potrzebowała pieniędzy. Czemu pytasz?

– Myślisz, że zamieściła to ogłoszenie, ponieważ brakuje jej środków do życia? – odpowiada mu pytaniem na pytanie Mycroft.

– Wątpię. Zauważyłem, że stać ją na sówite wy-nagradzanie dorożkarzy w chwilach zagrożenia. Pyta, co znajdowało się za lustrem, z czystej ciekawości.

– Aż tak ją to zaintrygowało?

– A dlaczego nie? Ciekawość idzie ramię w ramię z intelektem, a bystrość umysłu jest w naszej rodzinie dziedziczna.

– Intelekt u przedstawicielki słabej płci? Ha! Nonsens, Sherlocku. To oczywiste, że dziewczyna wysyła matce kwietne wiadomości wiedziona jakimś impulsem serca. Jak myślisz, czego się spodziewa w odpowiedzi na swoje ogłoszenie?

Wielki detektyw zmarszczył brwi i stoi w milczeniu, spoglądając z góry na brata. Zbывa pytanie milczeniem.

Zresztą i tak nie miałby czasu na odpowiedź, ponieważ Mycroft od razu zastrzega:

– Wiem, na co liczy Enola, i proponuję, byśmy zaspokoili jej pragnienie.

– Nie do końca cię rozumiem.

– Sherlocku, przecież to proste. Dziewczyna jest kochającą córką porzuconą przez matkę. Pragnie usłyszeć zapewnienie o równie silnych uczuciach z jej strony. I liczy na to, że za lustrem znajdował się list z wyznaniem matczynej miłości. A my możemy go sprokurować.

Na kilka sekund zapada milczenie. Sherlock pyka fajkę z morskiej pianki, wpatrując się w brata. A odpowiada pytaniem, które w istocie jest stwierdzeniem faktu:

– Który to list posłuży jako przynęta do zwabienia jej w pułapkę?

– To konieczne, jeśli chcemy przywrócić ją na łono cywilizowanego towarzystwa, zadbać o jej odpowiednie kształcenie i przyszłość...

– Cele, które określasz, są bardzo pożądane, mój drogi Mycroftie, jednak nie sądzę, by fortel był najlepszym sposobem na zdobycie przyjaźni Enoli. Nie mogę jej okłamywać.

– Sherlocku! Czy chcesz przez to powiedzieć, że odmawiasz mi pomocy? – Wywołane tak niespodziewanym oświadczeniem oburzenie każe Mycroftowi podnieść się z siedziska. W tej samej chwili Sherlock z całym spokojem zajmuje miejsce w innym fotelu.

– Zgadłeś. – Wyciąga rękę w stronę biurka, zdejmując arkusz papieru kancelaryjnego i zaczyna go składać, raz, drugi i trzeci. – Tym bardziej że uprzedziłem twoje działania. W jutrzejszych wydaniach gazety znajdziesz moją odpowiedź. Zapisałem sobie jej treść. – Rzuca złożoną w kostkę kartkę bratu, ten zgrabnie chwyta ją w locie, rozwija ją i czyta:

*E.H.: Irys miał wymiar finansowy, zdeponowany w Królewskim Banku Shropshire na Twoje imię. Żałuję, że nie mam innych wieści. Nasza wspólna znajoma, C.A., dziękuje Ci z całego serca za waleczność w niesieniu ratunku, ja również. Z największym szacunkiem,*

*S.H.*

Mycroft Holmes przygląda się tekstowi przez dłuższą chwilę, po czym podnosi beznamiętnie wzrok.

– No cóż – stwierdza chłodnym tonem – skoro tak ma to wyglądać...

– Tak właśnie będzie to wyglądać – potwierdza jego słowa łagodny głos Sherlocka.

## PRZYPISY

[1] *En face* (franc.) – widziany z przodu. (Wszystkie przypisy dodano w polskim wydaniu książki). [2] *Passé* (franc.) – niemodny [3] *À la mode* (franc.) – modny [4] *Ciel-bleu* (franc.) – błękitne niebo [5] *Peau de soie* (franc.) – atlas [6] *Dilettantes* (franc.) – amatorki [7] *Voilà* (franc.) – proszę bardzo! [8] *De rigueur* (franc.) – niezbędny [9] Serpentine Mews – fikcyjna ulica znana z przygód Sherlocka Holmesa. [10] *In situ* (łac.) – w miejscu [11] *Derrière* (franc.) – kuperek

# ENOLA HOLMES

NANCY SPRINGER

## SPRAWA OSOBLIWEGO WACHLARZA

*Enola Holmes bije się lepiej niż większość mężczyzn (...),  
a inteligencją zaskakuje nawet swojego brata Sherlocka.*

- KALINA MRÓZ, „WYBORCZA TV” -

TOM - 4 -



 Poradnia K